

Tabulka i sztift

Tabliczka i rysik

Wspomnienia państwa Heleny i Henryka Gruszka

Wspomnienia pani Heleny Woźniczek

Wspomnienia pani Anny Drewniak

Wspomnienia pani Magdaleny Żur

Wspomnienia państwa Hildegardy i Jerzego Król

Wspomnienia pana Ryszarda Urbanka

Autorzy

wysłuchała i spisała: Agata Flis

Skład komputerowy: Z. M. D. Padoł.

W KRAINIE WSPOMNIEŃ

"PRZEŻYTE LATA NAGROMADZIŁY W NAS WIELE WSPOMNIEŃ.

MOŻESZ JE ZACHOWAĆ DLA ICH SZCZEGÓLNEJ WAGI LUB ODRZUCIĆ.

MOŻESZ WYŁAWIAĆ TE, KTÓRE WARTE SĄ ZACHOWANIA I WSPOMNIENIA."

Wspomnienia państwa Heleny i Henryka Gruszka

Wspomnienia pani Heleny Gruszki

Urodziłam się w styczniu 1925 roku.

Dwa i pół roku swojego życia spędziłam na przymusowych robotach w ZSRR w mieście Kandalaksza niedaleko Murmańska.

To miasto portowe nad Zatoką Kandalaksza w Karelii w północno-zachodnim ZSRR.

Zacząło się w to w 1945r, kiedy to Rachowice były okupowane przez wojska sowieckie.

Miałam 20 lat. Do *Dworu* w Rachowicach przyjechała lekarka i oficerowie, żeby dokonać selekcji i przebadac ludność nadającą się do pracy.

Jednych odsyłali do pracy na polu, innych jeszcze gdzie indziej, a ja miałam pecha i zakwalifikowali mnie do robót w ZSRR. Oprócz mnie wywieziono jeszcze kilka osób: pani Sander, Emmę Istel, Heidlę Morcinkowską, Erikę Bubencer, Urszulę Kampe, i panią Dyszkową.

Jedna kobieta miała szczęście, gdyż zasłabła i odesłano ją do domu.

Wszystkie kobiety zmuszone do wyjazdu prowadzono piechotą do Raciborza, a stamtąd do Gliwic. Z Gliwic jechałyśmy tramwajem do Bytomia. W Bytomiu zamknięto nas w więzieniu na czternaście dni, a potem wywieziono nas w głąb ZSRR.

Podróż trwała czternaście dni. Ludzie tłoczyli się w wagonach towarowych jak zwierzęta.

Przez całą podróż dostawaliśmy do jedzenia w kubeczkach trochę grochówki, przeważnie przypalonej, do picia herbatę.

Woda była w wiadrach, w których zwykle poilo się konie.

W jednym wagonie mieściło się około czterdziestu osób. Dziesięć spało na dole, dziesięć na górze, reszta po bokach.

W środku mieścił się żelazny piecyk, a na widoku śmierdząca kloaka.

W całym transporcie było ponad dwa tysiące osób, z tego ponad sześćset kobiet. Po drodze widziałyśmy bardzo dużo różnych obozów.

Były to bardzo traumatyczne przeżycia.

Kiedy pociąg stał na granicy z ZSRR jeden z żołnierzy podszedł do nas i pytał czy jest ktoś z Zabrze- chciał podać list do matki, gdyż on właśnie szedł do obozu. Okazało się, że był kuzynem jednej z koleżanek. Bardzo się ucieszyli (dziewczynyna zdążyła dręczyć list na tydzień przed śmiercią jego matki).

To były wielkie tragedie tamtych czasów.

Z domu wyjechałyśmy w spódniczkach, bluzkach i lekkich butach, gdyż powiedziano nam, że jedziemy do szpitala opiekować się chorymi. Dlatego każda z nas wzięła sobie koc, ale oprócz tego nic do przebrania nie miałyśmy. Gdy dojechałyśmy na miejsce było po pas śniegu. Dano nam ciepłe kufaje i buty. Rękawiczek nie dostałyśmy. Trzęsłyśmy się z zimna.

Najpierw skierowano nas do łaźni, gdzie wiele osłabionych kobiet zemdlało. Zabrano nam też wszystko co miałyśmy cenniejszego (zwłaszcza ozdoby religijne).

Niszczono łańcuszki z krzyżykami i medaliki.

Ja miałam różaniec, który spuściłam do butów (musiałam po nim deptać, żeby go nie znalaziono).

Poddano nas też badaniu, żeby wyeliminować niezdolnych do pracy. Dostałyśmy zastrzyki. Moja koleżanka leżała dużo w szpitalu (nie miała tam źle - dużo robiła na drutach).

Po trzech miesiącach przyjechał pociąg i najbardziej chorych wypuszczono do domu. Nawet sporo ich pojechało. Tylko najzdrowsze dziewczyny zostały.

Na początku pracowałam w kamieniołomach. Była zima. Byli tam ludzie ze wszystkich wiosek z okolic Rachowic. Praca była nieludzka.

Chłopcy wiercili w kamieniu a dziewczyny wybierały ten kamień gołymi rękami, bez rękawic i układały go na taczkach, które potem na żerdkach musiały wnosić do góry. To miejsce nazywało się *szacht 4* i *szacht 5* i było pełne wody. Najgorzej było, gdy padał deszcz. Pomimo tego musiałyśmy pracować.

Gdy miałyśmy wydostać się z kamieniołomu, to wyciągano nas w wielkich wiadrach. Najtrudniej było wysuszyć się uważając przy tym, żeby nie odmrozić rąk.

Zdarzały się też tragedie. Jednej dziewczynie, chyba z Raciborza, duży kamień strzaskał obie nogi. Wróciła do domu jako kaleka.

Inna – młoda mężatka zmarła, a jej siostra została kaleką.

Kiedy raz szliśmy wysoką skarpą obok torów jeden mężczyzna spadł w dół z powodu słabości i silnego wiatru. Towarzysze go wyciągnęli. Wokół były tylko same kamienie.

Gdy chowano zmarłych to też do kamieni, gdyż w kamieniołomach nie można się było do ziemi dokopać. Wiele dziewczyn zostało tam pochowanych.

Miałam wielkie szczęście, że udało mi się wrócić. Pobyt w tym obozie jest najbardziej czarnym punktem w mojej biografii.

Oprócz kamieniołomów pracowałam również z innymi kobietami z Rachowic w lesie. Spuszczałyśmy gołymi rękami drzewa. Piłowałyśmy je, a potem ładowałyśmy na samochód. Czasami musiałyśmy w czwórkę unieść jedną belkę. To nie była najgorsza praca ale bardzo niebezpieczna.

Grzałyśmy się przy palonych odpadach z drzew.

Gdy jechałyśmy kiedyś na samochodach ciężarowych do lasu to spadła z góry moja koleżanka. Przeleciała przez burtę i złamała sobie dwa zębra. Pomimo wielkiego bólu musiała iść do pracy, gdyż nikt się takim czymś nie przejmował. Komendant, który nas pilnował był nawet dobrym i sprawiedliwym człowiekiem. Bronił nas i dbał byśmy miały wolny czas. Wiedział jak ciężko pracowałyśmy.

Bardzo trudna i ciężka praca była też przy budowie kanału. Chłopcy tam gruz borowali, a dziewczyny musiały wozić ten gruz taczkami na górę.

W czasie lata pracowałam na tak zwanej niwie, czyli na gospodarstwie. Była to jeszcze najlepsza praca. Sadziłyśmy kapustę. Rosła w oczach (panowały tam białe noce oraz noc polarna). Potem ją zbierałyśmy. Czasami rozebrałyśmy jakąś główkę i każda z nas dostała po kawałku.

Pamiętam jak jeden raz znalazłyśmy na polu kopiec z kartoflami. Nabralyśmy sobie ich, gdy wracałyśmy po pracy do baraków. Te kartofle były całe zmarznięte, ale nie zgnite - zrobił się z nich jakby proszek.

W naszym pokoju stał piecyk. Napaliłyśmy w nim i piekłyśmy placki. Miałyśmy takie prawdziwe święto. Niestety tylko raz. Na szczęście nic nam się po takim jedzeniu nie stało.

Siałyśmy również dużą, żółtą brukiew. Gdy nikt nie widział to udawało nam się objeść trochę.

Kiedyś zaprowadzono nas do innego baraku. Bałyśmy się bo nie wiedziałyśmy, co nas tam czeka. A tam stały same wielkie paczki z puszkami, a ile w nich dla nas witamin! Najadłyśmy się i jeszcze przemyciłyśmy koleżankom.

To była długa uczta, gdyż chodziłyśmy tam przez jakiś tydzień albo nawet dwa. To były takie przyjemniejsze chwile.

Najgorszą myślą był fakt, że byłyśmy tak daleko od domu. Bardzo tęskniłyśmy.

Oprócz tych wszystkich robót była jeszcze praca na budowie.

W mieście objęłyśmy listwami takie duże bloki, piętrowe i dwupiętrowe, potem tynkowałyśmy. Listwy wcześniej musiałyśmy same sobie narznąć. Dwie inne kobiety robiły gwoździe złamaną siekierą.

Trzeba było piasek taczkami na drugie piętro wnosić. To była bardzo ciężka robota. Ja powiedziałam: *wszystkim to dobrze nie idzie, ale ja jestem córka tego, który też dobrze pracował (był dekarzem)*". Wszyscy się śmiali.

Tam należało tylko dobrze pracować. Na szczęście miałam dość siły i każdej robocie podołałam. Dzięki temu dostawałam tak zwany dodatek, ale musiałam pracować więcej od innych.

Kto nie mógł ciężko pracować dostawał tylko 60 dag. czarnego chleba. Ja dostawałam 1 kg., bo bardzo ciężko pracowałam i byłam tak zwanym dobrym robotnikiem.

Nigdy nie chorowałam na szczęście. Byłam bardzo wytrzymała.

Zresztą kobiety były bardziej wytrzymałe od mężczyzn. Mężczyźni nie dostawali więcej jedzenia. Ich zmarło tam znacznie więcej niż kobiet. Byli mniej odporni.

Nie lubiłyśmy w brygadzie chłopów, oni dużo opowiadali o dobrym jedzeniu, który by co zjadł, narzekali, że są słabi. W każdej brygadzie musiał być mężczyzna, ale brygadzystkami były kobiety.

Na kolacje dostawałyśmy do chleba zupkę, a że ja tego chleba miałam więcej to czasami dzieliłam się nim z moją koleżanką, która była słaba i nie mogła ciężko pracować. Żołądek z czasem przyzwyczał się do takiego skąpego jedzenia i chyba się skurczył, dlatego dało się wytrzymać. Ja nigdy nie miałam problemów żołądkowych. Na śniadanie porcje były średnio z 200g. chleba i krupnik. Miałyśmy miseczki z fajansu i łyżeczki z drewna. W południe otrzymywaliśmy zupę chlebową, czasami z krupami albo owsiankę (bez mleka).

Niekiedy było ćwierć litra gęstej kaszy, kawałeczek gotowanej ryby, łyżeczka cukru i smalcu

Czasem chłopcom pozwolono jechać z Rosjanami na ryby. Miejscowi wiedzieli, kiedy jest przyływ a kiedy odpływ Morza Białego i przychodzili to oglądać. Przyływ był bardzo szeroki i daleki.

Ryby były dobre, czasami udało nam się trochę dostać. Chłopcy robili ogień i wędzili je. Zazwyczaj dostawałyśmy je do zupy, ale to było ohydne, gdyż żeby ją zagęścić wrzucano te ryby bez wypatroszenia.

Gdy nikt nie chorował, można było dostać nawet parę groszy zarobku. Ale to był tylko taki gest od czasu do czasu. Można było wtedy wyjść na miasto i coś kupić.

Było bardzo ciężko, ale każdy żył nadzieją powrotu do domu i jakoś dało się przetrzymać.

Przebywały tam różne dziewczyny, układały przedstawienia teatralne, śpiewały piosenki po niemiecku. Najczęściej na temat powrotu do domu. Gdy przyszedł ktoś i zagrał na harmonijce to nawet można było zatańczyć.

Dostawałyśmy także tabakę. Zdarzało się, że niektóre dziewczyny nam ją wykradały. Ogólnie nie można było narzekać na ludzi mieszkających w okolicach Kandalakszy nad Morzem Białym.

Ten lagier w którym mieszkaliśmy stał osobno, ale wokół były domy. Tam mieszkali przeważnie ludzie, którzy zostali za coś wywiezieni. W sąsiednich domach mieszkali Rosjanie, ale byli w porządku. Raz nawet jedna pani zaprosiła nas do siebie. Strażników pilnujących lagrów nie było dużo, gdyż nikt nawet nie próbował uciec, bo nie było dokąd – wszędzie daleko.

Pilnował nas Komendant i dwóch oficerów. Wojska nie było przy wejściu do baraku. Nigdy nie widziałam też, żeby jakieś kobiety bito.

Rosjanie nie mogli zbliżyć się do pracujących kobiet. Tam akurat nie dochodziło do żadnych incydentów. Dogadywałyśmy się jakoś po rosyjsku – jeden mężczyzna, chyba dyrektor szkoły z Bytomia, tłumaczył.

W czasie pobytu w ZSRR nie mogliśmy chodzić do kościoła, ani świętować katolickich uroczystości. Ale niedziela była niedzielą. Nie pracowałyśmy wtedy. Zbierałyśmy wyrzucone puszki, chłopcy zrobili nam z tego kubki i różne pudełka. W Wigilię Bożego Narodzenia nałożyłyśmy sobie do tych pudełek krupy z zupy i rybę.

Ale nawet jeść się nie chciało, bo wszystkie myślałyśmy o tym, co tam się w naszych domach dzieje. Choinkę przywiezłyśmy sobie z lasu, gdy w nim pracowałyśmy.

Tam nie było takich ładnych choinek jak u nas, ale same grube kłocę drzewa. Gdy pracowałyśmy jeszcze w kamieniołomie to tam byle gdzie pomiędzy kamieniami wyrastały jakieś chochoły. Przystroiliśmy to watą, którą dostałyśmy z ambulatorium.

Najszczęśliwsza jednak chwila była to ta, kiedy powiedziano nam, że niedługo wrócimy do domu. Do dziś to pamiętam. Byliśmy tak szczęśliwi, że nie mieliśmy śmiałości w to wierzyć. Pierwsi powiedzieli nam o tym ludzie, a nie wojskowi.

Z Murmańska miał odjechać pociąg z wojskowymi, a do niego miały być przyczepione wagony dla nas. Przed wyjazdem najpierw jedna grupa pojechała po ubrania, w których tam przyjechaliśmy.

Druga grupa jechała napychać sienniki. Ktoś inny powiedział, że ładowali na wagony kotły, że chyba jednak niedługo naprawdę odjedziemy.

Pamiętam jak przyjechał po nas transport. Polacy oraz wszyscy chorzy mogli wyjechać.

Ponieważ ja i wszyscy z naszych okolic mieliśmy obywatelstwo niemieckie nie mogliśmy wrócić od razu do domu.

Zawieziono nas do Niemiec do Frankfurtu. Tam był obóz przejściowy. Musiałyśmy przejść kwarantannę. Wszystkich przebadano i poddano odwszeniu. Musiałyśmy najpierw napisać do rodzinnych domów, żeby się dowiedzieć, jak tam wygląda i czy jest do czego wracać.

Z domu odpisała moja mama. Moja kuzynka Emma Istel nie miała żadnych wiadomości o swojej mamie – list się chyba zgubił. Pojechałyśmy do Berlina do konsulatu.

W międzyczasie mogliśmy pracować. Przyszedł do nas przedstawiciel Arbeitsamtu i pytał, gdzie byśmy chciały pracować. Ja nie chciałam na gospodarstwie, wolałam w domu albo w hotelu. Akurat było coś takiego.

Poszłam do kuchni, a moja kuzynka na *pokoje*. Hotel ten prowadziły dwie starsze kobiety.

Jedno zrobiły dobrze. Uznały, że po takich przejściach mamy słaby żołądek i powinnyśmy zastosować dietę, żeby sobie nie zaszkodzić. Rano jadłyśmy zawsze zupki, a obiad też był dietetyczny.

W Niemczech przebywałyśmy ok. 2 miesiące.

Do Rachowic, do domu wróciłyśmy we wrześniu 1947r, bodajże na kiermasz. Pamiętam bardzo dobrze ten dzień. Przyjechałyśmy do Gliwic w nocy. Przypomniało mi się, że jedna koleżanka, która z nami była na Wschodzie mieszkała na Wójtowej Wsi. Przypadkowo spotkałyśmy kobietę mieszkającą w tym samym bloku, co ona. Chciała nas zabrać do siebie, ale miała dużo dzieci więc spałyśmy u jej matki.

Starsza pani bardzo się ucieszyła z niespodziewanych gości. Pytała nawet, czy mamy pieniądze na powrót do domu.

Ale na autobus nam jeszcze wystarczyło. Kiedy przyjechałyśmy do Sośnicowic to zauważyła nas jedna kobieta z Rachowic, która jechała na rowerze. Telefonów jeszcze nie było, więc ona przekazała we wsi, że dziewczyny są już w Sośnicowicach.

Wszystkie, które byłyśmy wywiezione z Rachowic powróciłyśmy, za wyjątkiem jednej która została w Niemczech u swojego męża. Było to wielkie szczęście. Gdy wyjeżdżałam z Rachowic ważyłam 56 kg ,a gdy wróciłam to miałam 35. Zaważyło to na moim zdrowiu. Od tego czasu mam problemy z wątrobą. Był to dla nas bardzo ciężki okres. Tego nie da się wymazać z pamięci.

Wspomnienia pana Henryka Gruszki

Urodziłem się w kwietniu 1928r.

Przez 7 miesięcy mojego życia byłem na Wschodzie w Nowosybirsku. Nowosybirsk leży nad Zbiornikiem Nowosyberyjskim na południu Niziny Zachodniosyberyjskiej.

Na roboty wywieziono mnie 16 lutego 1945r. Miałem 17 lat. Zrobiono nam zbiórkę i powiedziano, że mamy iść na pobór do polskiego wojska. Trochę nas poobijali, żebyśmy nie stawiali oporu. Piechotę szliśmy do Pszczyny, stamtąd do Bielska, potem do Nowego Sącza i Sanoka.

W Sanoku wsadzono nas do wagonów i wywieziono na Wschód..

W wagonie były dwa piece i dwa rzędy pryczy. Siedemdziesięciu chłopów musiało się tam zmieścić.

Okolo miesiąca czasu spędziliśmy w wagonie, bo dużo razy zatrzymywaliśmy się.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce to prawie do strzelaniny doszło. Komendant obozu kazał otworzyć wagony i wyładować worki z żywnością (soja, fasola, groch), a ci którzy nas transportowali chcieli to przeszabrować. W końcu strzelaniem w powietrze zmusił nas do otwarcia wagonów i rozładowania. Musieli odczepić wagony i wozili te worki na furach, a śniegu było po kolana. W obozie gdy wyrobiłeś normę to dostałeś plasterek słoniny, łyżeczkę smalcu, kapustę albo krupy.

Na początku pracowaliśmy na kopalni. Tam wykopana była dziura. Z niej drapało się węgiel i woziło wózkami na górę. Pracowaliśmy tam przez miesiąc. Potem musieliśmy pracować na budowie. Woziliśmy karami cegły na górę.

Ze Wschodu wróciliśmy po siedmiu miesiącach. Była jesień. Najpierw zawieziono nas do Hławy, na Prusy Wschodnie do Deutch-ohlau..

Wspomnienia pani Heleny Woźniczek

Urodziłam się 23 maja 1907r.

Mój ojciec pochodził z Bojszowa.

Kupił w Rachowicach słomianą chałupkę. Znajdowały się tam małe okna. W zimie przynosiło się mchu z lasu i ocieplało te okna. Podłogi tam nie było, tylko klepisko, a na suficie belki. Później ojciec wybudował dom. Początkowo nie miał nawet konia, dopiero później sobie kupił. Dom wybudował za zaoszczędzone pieniądze, gdyż był murarzem. Chodził do pracy na cały tydzień. W rodzinie było nas ośmioro. Do szkoły bardzo ciężko chodziło się podczas zimy (mój dom rodzinny znajduje się daleko od dawnej szkoły). Nikt wtedy nie rozdawał pierwszoklasistom tyt. Książek i zeszytów było bardzo mało, była tylko książka do religii. W szkole uczyliśmy się pisać tylko po niemiecku. Mieliśmy tylko tabólkę, stift, mokrą gąbkę, szmatkę i książkę.

W trzeciej klasie dopiero dostaliśmy książki i zaczęliśmy oprócz niemieckiego uczyć się łaciny. Szkoła trwała od szóstego do czternastego roku życia. Po zakończeniu szkoły nie było takich wspaniałych, beczynnych wakacji jak teraz. Dostało się świadectwo i wracało się na pole paść krowy.

Nie było wywiadówek, rodzice nie musieli się interesować nauką dzieci.

Do I Komunii przystępowało się w wieku dwunastu lat.

Gdy miało się jeszcze jedenaście lat odbywała się pierwsza spowiedź, a po pół roku I Komunia Święta. Do I Komunii przystępowały dzieci z czterech kościołów.

Za moich czasów komunii udzielał ksiądz Czech, który pochodził z Ostropy. Przyjęć komunijnych jeszcze wtedy nie było.

W dniu, w którym przystępowało się do I Komunii nie wolno było nic jeść przed uroczystą mszą. O dziesiątej odbywała się I Komunia.

Pamiętam, że moja matka wzięła do kieszeni kawałek kołocza i dała mi go po skończonej uroczystości. Po uroczystych niesporach musiałam iść gęsi paść, a mój brat krowy.

Nie było takich uroczystych i bogatych przyjęć, jak teraz.

Czasy były bardzo ciężkie i biedne. W chałupach było zazwyczaj bardzo dużo dzieci. Siedziały one na piekaroku (żeleźnioków wtedy jeszcze nie było). Gnieździło się w jednej izbie, a obok za obitymi drzwiami była obora.

Bieda była wielka. Nie można było sobie kupić trzewików. Chodziliśmy w drewnianych pantoflach i jeszcze się z tego cieszyliśmy.

Zimy były mroźne i śniegu było bardzo dużo. Często wpadaliśmy do rowu, a gdy była gołoledź na szosie to ślizgaliśmy się.

Po skończeniu szkoły pracowałam w domu na gospodarce, a gdy zostało mi trochę wolnego czasu dorabiałam w lesie. Dużo dziewczyn pracowało na pańskim polu, aż do zamążpójścia.

Za mąż wyszłam w wieku dwudziestu jeden lat, podobnie, jak moje trzy siostry.

Wesela obchodzone były inaczej, niż teraz.

Świętowało się w domu, a zabawa była na sali w gospodzie – u Lubicha albo u Wieczorka. Na moim weselu też była orkiestra. Szło się z nią do kościoła i później z kościoła do domu, wtedy było wesoło na wsi, szczególnie latem!

W gospodzie obok nas - u Lubicha było bardzo głośno i wesoło.

Stała tam w środku szafa grająca, do której wrzucało się pieniądze. Szafa grała wtedy godzinę.

Przesiadawali tam leśnicy i myśliwi. Dostawali jedzenie.

Pamiętam dawne Sylwestry.

W ostatni dzień starego roku było nabożeństwo w kościele, a następnie bawiono się hucznie w obu salach gospody – u Lubicha i u Wieczorka. Zabawa kończyła się w nocy około trzeciej., po niej muzykanci zbierali się i chodzili od chałupy do chałupy, zbierając pieniądze i ewentualnie jajka.

W noc sylwestrową akurat urodziła mi się najstarsza córka. Muzykanci więc śpiewali i grali mi pod oknem :To się urodziło prawdziwe dzieciątko!

Ważnym zwyczajem tamtych czasów, a teraz zaniedbanym było topienie Marzanki. Odbywało się w to w stawie koło tzw. Starej Cegielni. Była to kukła podobna do stracha na wróble z głową ze słomy. Ubrana była w stare szmaty. Stanowiła symbol zimy. Po utopieniu jej młodzież chodziła z ładnie wystrojoną choinką po całej wsi. W topieniu Marzanny brała udział młodzież z całej wsi – liczne dziewczęta i chłopcy. Chodzili od domu do domu, śpiewali i zbierali do koszyka to, co kto im dał. Najczęściej były to kroszonki, a w późniejszych czasach świeże jajka. Gdy zaśpiewano, trzeba było coś wrzucić do koszyczka. W tamtych czasach wszyscy chętnie szli, gdyż było to miłe i ważne wydarzenie. Najwięcej dzieci biegło.

Było bardzo wesoło, a do koszyka co rusz wędrowały smakołyki, pierniczki, maślane ciasteczka..

Czasami wrzucano jakieś pieniądze.

Śpiewano ludowe, stare przyśpiewki min.:

Nasza gospodyni siedzi na rogu stoła i wyszywa same złote koła,

A ten gospodarz w wysokich butkach chodzi po zalotkach,

Na ogrodzie rosną wiśnie, a ta dziołcha co krok to dżistnie,

Za tym domem rosną torki, a ta gospodyni wyszkrobuje gorki,

A na ogródku stoją sanie, a ta gospodyni mo nogi jak banie!

Do czasu wojny pracowałam w Kinderheimie, obok Johannesheimu, (tzw. później baraki). Była tam panna ,która rządziła służbą.

Gdy dziewczęta ze wsi kończyły szkołę, to która nie miała gospodarstwa szła pracować do Dworu (później PGR). Około dwudziestu dziewczyn z Rachowic tam pracowało.

Pracowano też w lesie, a jak któraś chciała iść na służbę, to kierowała się do państwa do pałacyku w nadleśnictwie.

Kobiety ze wsi całymi grupami chodziły pomagać podczas zniw do siana.

Razem się też chodziło do kopania w polu.

Dużo dziewczyn pracowało na pańskim polu, aż do zamążpójścia. Jeździły one na pole na furach i śpiewały. Chłopcy kosili, dziewczęta stawiały kopce z siana.

Pracowałam bardzo dużo. Jak miesiąc długi nigdzie z domu nie wychodziłam. Wiele nocy nie przespałam – to nawet trudno sobie wyobrazić. Spać mi się nie chciało – tak bardzo byłam zapracowana.

Dzieci dużo pomagały. Musiały całe gospodarstwo nakarmić. Miałam bardzo dobrą teściową. Pomagała mi przy dzieciach.

Śrutować nie wolno było w dawnych przed- i wojennych czasach. Gospodarze więc robili to po kryjomu.

Kiedy wybuchła wojna miałam trzydzieści dwa lata. Mój mąż poszedł na wojnę w styczniu 1941r., potem wrócił i poszedł ponownie.

Podczas wojny mieliśmy do pomocy Ukraińców- dziewczynę i chłopaka.

Dziewczyna pomagała w domu, a chłopiec w polu.

Gdy Rosjanie weszli do Rachowic mieliśmy w domu akurat świniobicie.

Podczas bombardowania Rachowic, pod koniec II wojny światowej przeżyłam chwile prawdziwej grozy. Wszystko w domu było zniszczone przez bomby. Szyb i drzwi nie było wcale.

Zniszczona była maselniczka i śrutownik.

Schowaliśmy się w czarnej kuchni obok domu, tam był taki gruby mur i staliśmy w tym murze. To nam uratowało życie. Gdybyśmy się nie schowali i zostali w izbie to żadnego z rodziny mogłoby nie być. Pamiętam jak mocno gryzł w oczy dym, gdyż niedaleko były czerwone łuny pożarów.

Panował ogromny hałas – cała trzoda chlewna i konie ryczały i parskały. Wydawało mi się, że pali się cały chlew.

Podpalono plebanię i ksiądz Kycia z ojcem i służącymi przebywali u nas od stycznia do maja 1945r. Wszyscy musieliśmy spać na ziemi. W sypialni na łózkach spali ksiądz i ojciec.

Okna i drzwi mieliśmy potraskane od wybuchu bomb, ale szybko szklarz je zaszklął i przynajmniej nie mieliśmy zimno. Niestety wcześniej Rosjanie postrzelili w nogę gospodynię księdza. Zabrano ją do wojskowego szpitala w Gliwicach, gdzie musiała się długo leczyć. Wtedy miałam prawdziwy krzyż pański. Musiałam opiekować się dużą ilością ludzi, gotować im i sprzątać. Bardzo brakowało nam pomocy gospodyni księdza.

Po bombardowaniu ludzie czasem i dwa tygodnie nie wychodzili z domów. Bali się. Dlatego też nikt tak dokładnie nie wie, co się wtedy działo. Rosjanie wszystko pokradli. Przynajmniej raz w życiu byłam bez roboty!

Napracowałam się w życiu bardzo dużo. Wszystko potrafiłam sobie zorganizować. W dzień pracowałam w polu, a nocą w domu, mieliśmy pole i trzy konie. Pewien człowiek obrabiał nam pole. Sama musiałam piec chleb. Pranie też było ręczne, na tarce.

Pamiętam jak mi opa zrobił takie koluszeko i tym się tak działo.

Rower kupiłam sobie dopiero, jak byłam mężatką. Najpierw musiałam nauczyć się na nim jeździć. Dawnymi czasy wszystko trzeba było robić ręcznie. Ludzie bardzo się wtedy napracowali.

Wspomnienia pani Anny Drewniak

Urodziłam się 12 stycznia 1912 r. jako trzecia z czterech siostr. Siostry moje już nie żyją.

Mój ojciec brał udział w I wojnie światowej. Pochodzę z domu Weinholdt.

W domu rodzinnym na ścianie wisiało u nas wielkie zdjęcie rodziny cesarskiej. Rodzina moja przez dziesięć lat mieszkała w Zabrze.

Mojego męża poznałam na zabawie w gospodzie u Lubicha.

Był on, tak jak i ja urodzony w styczniu, więc w grze, w której tańczyły ze sobą osoby urodzone w tym samym miesiącu, przypadło nam razem zatańczyć.

Podczas zabaw dziewczęta gromadziły się w sieni, chłopcy wybierali i prosili do tańca te, które im się spodobały.

Po ślubie w 1934r zamieszkaliśmy w Kozłowie, gdyż stamtąd pochodził mój mąż.

W dawnych, przedwojennych czasach, każdy miał tylko jeden lepszy pokój, nazywany wielką izbą.

Meblościanek nie było. Stało tam jedno łóżko dla gościa, szafa, kredens, wielkie lustro, stół i krzesła. Obok była mała sypialnia, w której spała rodzina. Łazienek nie znano na wsi. Na ścianach modne były tzw. ramy. W środku znajdował się budzik, a obok puszkki na przyprawy. Na górnej półce mieściły się też puszkki. Wszystko było opisane w języku niemieckim. Mój mąż pracował w Hucie I Maja. Władze niemieckie ściągają do wojska wszystkich, tylko nie tych, którzy pracowali na kopalni.

Kiedy mąż wrócił kiedyś z nocki zastał w domu wezwanie do poboru. Mundur przyniesiono mu już dwa tygodnie wcześniej. Szedł piechotą z Kozłowa do zamku w Sośnicowicach, gdyż tam kazano wszystkim się zgromadzić.

Po trzech tygodniach jeden z żołnierzy przyszedł powiedzieć mi, że jeżeli chcę jeszcze z mężem porozmawiać, to mam pojechać do Gliwic, gdyż wszyscy żołnierze wyjeżdżają za granicę.

Pojechałam tam na rowerze, mimo że źle się czułam, gdyż przeszłam operację zębów i dziąseł.

Po wygranej wojnie z Francją pozwaliano żołnierzy do odwołania (także tych z Rachowic), ale męża mojego nie zwolniono, gdyż jako kowal z zawodu pracował dalej w remontowni broni. Mógł przyjeżdżać co drugą niedzielę do domu. Zawieszenie broni trwało niecały rok.

Najstarszy syn urodził się w 1935r. Zmarł, ponieważ nie przyjęło mu się szczepienie przeciwko ospie (wtedy cztery razy szczepiono w rękę). Za trzy lata urodził nam się drugi syn.

On również zmarł w 1942r w szpitalu na szkarlatynę. Szpitale były wtedy przepełnione. Dzieci, kobiety i mężczyźni – wszyscy przebywali razem. Trzeci syn miał wtedy roczek, a ja byłam już wdową, gdyż 9 października 1941r. mój mąż poległ na wojnie (pół roku wcześniej).

Po śmierci męża dostawałam rentę. Państwo mnie wspierało. Jak nastąpiła Polska nie przyznano mi renty. Nie otrzymywałam znikąd pomocy.

Gdy byłam dzieckiem nie było jeszcze przedszkoli. Nastąpiły one później. Podczas wojny, gdy mój syn miał dwa lata oddałam go do przedszkola, a sama poszłam do pracy.

Gdy miało nastąpić bombardowanie, radio niemieckie nadawało alarm przeciwlotniczy, taki sygnał ostrzegawczy i wszystkie matki biegły po dzieci.

Na wojnie pod Leningradem zginął również mój brat, na krótko przed swoim weselem. Wtedy, mimo że żołnierze przebywali na froncie mogli się żenić. Dostawali urlop wojenny.

Rok po śmierci męża przeprowadziłam się z powrotem do Rachowic.

Rachowice były kiedyś bardzo słynne.

Już od strony Sośnicowic znajdowały się drogowskazy kierujące do Rachowitzerschweiz.

Na drugim drogowskazie, po przeciwnej stronie szosy, opisany był Johannesheim.

Miał on swoje włości, aż pod las, tak zwane później baraki i Grota.

Nad stawem w Grocie umieszczona była wielka figura Matki Boskiej. Znajdowała się ona na czworokątnym podwyższeniu. W czasie wojny strzelano do niej. Ustrzelono jej głowę i utopiono w stawie. Więcej podobnej figury na to miejsce nie wstawiono.

Druga figura, która mieściła się w samej Grocie też zniknęła podczas wojny.

Jedyna figura Matki Boskiej mieści się teraz w samej Grocie. Poświęcono tę nową figurę za czasów księdza Stokłosa.

W Rachowitzerschweiz odbywały się przedstawienia, koncerty i różne imprezy. Stały tam drewniane stoły i długie ławy. Można było wszystko kupić, nawet w niedzielę. Właściciele gospody, piekarz i rzeźnik mieli swoje zamknięte budy. Pan Lubich sprzedawał piwo, państwo Friebe kiełbasy, pan Grzywa amerykańskie makrony, kołoczki.

Odbywały się tam zabawy dla sportowców. Od buka do buka wisały lampiony i girlandy.

Wszystko świeciło. Choć w lesie płonęło tyle ognia, nigdy nic się nie zapaliło. Tam mogło się bawić ze stu ludzi. Stały tam nawet dwa ustępy. Raz w roku odbywała się tam zabawa dla Kriegervereinu i dla górników.

Koncert odbywał się co niedzielę – stała tam drewniana buda specjalnie zrobiona dla orkiestry. Po dziesiątej wieczorem towarzystwo przenosiło się do gospody - niemiecki porządek musiał być egzekwowany.

W Rachowicach było nadleśnictwo. Należało do niego dziesięć leśnictw. Nadleśnictwo rejonowe

znajdowało się w Świerklańcu.

Musiałam tam co tydzień jeździć, gdyż przez 9 lat po wojnie sprzątałam biura w nadleśnictwie w Rachowicach.

Później jako goniec musiałam jeździć z listami oraz po różne towary po Katowicach, Brynku, Ochojcu, Rybniku, Zabrze, Bytomiu. Oprócz tego, gdyż pieniędzy zarabiałam mało, musiałam dorabiać w lesie i u gospodarzy.

Jeździłam na męskim, służbowym, niewygodnym rowerze, którego często spadał łańcuch, nawet podczas deszczu.

Chodziłam jeszcze sprzątać góralom zatrudnionym w lesie.

Mieszkali oni w leśniczówce Potempa oraz w domu stojącym na miejscu spalonej nadleśniczówki.

Przy nich podszkoliłam sobie język polski.

Potem na własną odpowiedzialność zwolniłam się z nadleśnictwa, gdyż jako goniec i sprzątaczką dostawałam jedno wynagrodzenie, a za przejazdy służbowe musiałam płacić z własnej kieszeni.

Przez pewien czas po wojnie wraz z innymi kobietami pracowałam w lesie w Łączy. Potem przez siedemnaście lat aż do sześćdziesiątego roku życia byłam sprzątaczką w obecnej szkole.

Pamiętam, że nauczycielami w szkole byli kiedyś Gutowski, Schmidt i Brixie. Po wojnie pierwszym nauczycielem był pan Schubert.

Nauczyciele to byli kiedyś panowie. Gdy dziewczyna wychodziła za mąż, to pierwszy kołocz roznosiło się do księdza i organisty, który zarazem był kierownikiem szkoły – pana Kropscha.

Po wojnie msza szkolna, na którą każdy uczeń musiał chodzić była o siódmej rano, a na ósmą trzeba było iść do szkoły.

Kiedyś często i zdarzało się, że mocno bito dzieci.

Poszczególne klasy nazywały się Abteilung. Dwie klasy uczyły się razem w jednym pomieszczeniu – obydwie na ósmą rano. Sala klasowa była przegrodzona tak, że młodsza klasa znajdowała się na przodzie, a starsza w tyle

(w przedszkolu za polskich rządów też było tak przez pewien czas).

Gdy jedna część klasy pisała, to druga uczyła się ustnie i na odwrót. Trwało tak, aż wybudowano nową szkołę.

Za moich czasów do szkoły średniej szli tylko bogatsi i dzieci od państwa. Przeważnie, gdy chłopak wyszedł ze szkoły to miał czternaście lat i udawał się na dwa lata do gospodarza krowy paść. Gdy miał szesnaście lat dopiero szedł do dalszej szkoły.

Były takie zawody jak: szewc, krawiec, stolarz, murarz, piekarz itp. Mój brat uczył się przez cztery lata za krawca. Edukacja była wtedy płatna.

Przed Hitlerem panowało duże bezrobocie. Kto nie miał pracy musiał obowiązkowo cztery razy w tygodniu chodzić do Sośnicowic na pocztę po pieczętkę. Dostawało się sześć marek tygodniowo.

Nie jadło się kielbasy ani mięsa. Na kolację obowiązkowo była maślanka i kartofle albo placki kartoflane.

Po maślankę w czasie wojny jeździłam do Sośnicowic - była tam hala mleczna. Na obiad żur albo ścierka.

Chleby piekło się samemu w domu. Był on na cenę złota. Piekło się go raz w tygodniu – w piątek i nikt nie mówił, że chleb jest stary. Musiał wystarczyć na cały tydzień.

W powstaniach śląskich w roku 1922 Polacy wywalczyli część Śląska. Po tych wydarzeniach w Rachowicach więcej mówiono po polsku, także w kościele.

Dawniej jeźdzono do Polski handlować, gdyż tam było bardzo tanio. Ruda Śląska należała w połowie do Polski, a w połowie do Niemiec.

Gdy wychodziłam za mąż w 1934 r. zakazane było już mówić po polsku, ale wesele miałam polskie. Nikt się do tego nie przyczepił.

Na długi czas przed Hitlerem msza w kościele była 3 razy w miesiącu w języku polskim, a raz w języku niemieckim, później była już tylko raz w miesiącu po polsku, trzy po niemiecku, a od 1933 r. zabroniono polskiej mszy.

Czysto po polsku nikt nie umiał mówić. Śląska gwara jest mieszaniną obu języków – polskiego i

niemieckiego.

Nie umiałam pisać po polsku, lecz teraz piszę bezbłędnie. To samo przyszło. Język niemiecki i polski to ciężkie języki. W szkole uczyliśmy się po niemiecku i łacinie.

Przed Hitlerem można było mówić, w jakim języku się chciało. Nawet na przerwie w szkole nie zabraniano mówić po polsku.

Odbywały się przedstawienia w języku polskim i niemieckim. Różne trupy teatralne jeździły z przedstawieniami.

W piątej klasie pisaliśmy już po łacinie. Umiem odróżniać rzeczowniki, czyli przedmioty, które widzi się własnymi oczami i wiem, że pisze się to wielką literą w języku niemieckim. Potrafię rozróżnić, kiedy użyć wielkiej, a kiedy małej litery.

Kiedyś w Sylwestra orkiestra z Rachowic zagrała mojemu ojcu melodię: My ubodzy górnicy ciężko pracujemy. Niektórzy ludzie w Rachowicach należeli do związku S.A. i za to, że orkiestra zagrała mojemu ojcu melodię polskiej piosenki ludzie z tej organizacji napadli na szosie na grających i potrzaskali im trąby.

W orkiestrze już przed wojną grali: Alfons Sachnik, Alojz Sachnik, prawie wszystkie Sachniki, pan Szyma.

Hitler przez 6 lat swoich rządów (do 1939r) pobudował autostrady, których w tamtych czasach nie znano. Osiedla w Brzezince, Wilczym Gardle budowane były w kształcie swastyki, przypominały ją z lotu ptaka.

Hitler dobrze gospodarzył.

Przed wojną co drugi sklep w Gliwicach należał do Żydów.

Potem spalono synagogę żydowską i przez jedną noc Żydzi musieli opuścić swoją własność.

Pamiętam jak prowadzono tutaj Żydów. Szli pieszo z Gliwic. Były ich ogromne masy. To bardzo bolesne wspomnienie. Zaprowadzono ich do Felscheuny. Ludzie z Rachowic wychodzili z konewkami, gdyż tamtym chciało się pić. Dowódcy bili brzoźowymi kijami. Nie wolno im było napić się wody.

Kto nie zmieścił się w stodole, ten stał pod kasztanami na drodze., a była zima. Wielu zmarło z wycieńczenia. Kto nie umiał dalej iść – tego zastrzelili. Mieszkańcy Rachowic musieli ich zakopać byle gdzie.

Na polu w Rachowicach, w środku obecnej wsi, po lewej stronie jadąc od Sośnicowic Niemcy mieli rozłożone działa i maszyny.

Pamiętam wojsko niemieckie, które podczas wojny stacjonowało w okolicy.

W Kozłowie, w Brzezince podczas wojny mieścił się obóz jeńców rosyjskich. Ludzie po kryjomu dawali im jeść. Obóz ten widać było z drogi. Niemcy źle się z nimi obchodzili.

Bardzo przeżyłam bombardowanie Rachowic.

Niektórzy ludzie tak bali się wejścia Rosjan, że byli spakowani już do ucieczki.

Siedziałam wtedy w piwnicy z czterdziestoma innymi ludźmi. Co kawałek ustawiano w niej pnie, aby nie zawalił się sufit. Okna przysypano piaskiem. Wokół leciały granaty. Tumany piasku wzbijały się do góry i robiło się jasno.

Jeden czołg wjechał od strony Bojszowa, a dwa od Sośnicowic.

Ten od strony Bojszowa prawdopodobnie został trafiony i zatrzymał się przy starej szkole. Drugi wjechał do majątku, a trzeci pojechał dalej.

Bomby niemieckie spadły w Rachowicach na dom państwa Woźniczek (obok starej szkoły), do gospody u Lubicha, do stodoły od państwa Krzyszteczko. Rachowice znajdowały się całe w czarnym dymie!

Potem samoloty odleciały, a Rosjanie przez tydzień mogli robić, co chcieli. Tam, gdzie nie było ludzi w domu, to palili.

Podpalili u Skoberli, plebanię, nadleśnictwo, suszarnię, dom w majątku i Johannesheim.

Ruiny Johannesheimu długo stały po wojnie. Potem na podbudowie tych ruin wybudowano szkołę. W magazynie Johannesheimu ukryte były materiały, sprzęt wojenny, porcelana, dużo towarów,

pochowanych tam przez bogaczy z Gliwic, jak również flagi hitlerowskie.

Magazyny mieściły się również na plebanii i w nadleśnictwie. Zebranych było w nich dużo materiałów(chusty, jedwabie, obuwie).

Ksiądz zakopał niektóre rzeczy ze swojego magazynu na plebanii.

Ludzie zabrali z tych magazynów, co mogli. W większości towary spłonęły. Takich magazynów na wsi było więcej.

Wojsko szło od rana, do wieczora. Front zbliżał się od Pławniowic, od Bojszowa. Rosjanie plądrowali, zabierali wszystkie wartościowe rzeczy: zegary, budziki, złoto, gramofony, lampy, obrazy, itp.

21 stycznia 1945r. zastrzelono w Rachowicach jednego parafianina tylko dlatego, że nie przyprowadził żołnierzom konia, a on nie miał go skąd wziąć. Ksiądz go po cichu pochował.

Podczas wojny bardzo szybko trzeba było się nauczyć chociaż kilku słów po rosyjsku.

Zaraz po wojnie musiało się mówić po polsku. Byli też ludzie, którzy chodzili pod oknami, podsłuchiwali i donosili władzom.

Zaginęła prawdziwa śląska mowa.

Za niemieckich czasów w domu mówiło się po śląsku, ale w urzędach, w szkole, w sklepie czy w mieście – po niemiecku. Tyle każdy umiał.

W każdej wsi była gmina. W Rachowicach gmina była obok obecnego domu państwa Morcinek, urzędował w niej burmistrz.

Tam, gdzie mieszka pan Emil Urbanek znajdowała się poczta.

W każdej wsi tak to wyglądało. Był to niemiecki system.

Osrodek zdrowia, przed i po wojnie, mieścił się w Sośnicowicach, w tym samym budynku, gdzie teraz. Pracowali tam dwaj lekarze: Foit i Konieczny. Znajdował się tam również mały szpital i zakonnice.

Kiedy jeszcze byłam całkiem mała, to przypominam sobie, że gdy chodziłam jeszcze do szkoły bawiliśmy się w skakanie na jednej nodze po schodach. Podczas takiej zabawy poważnie skaleczyłam się w nogę. Wtedy rzadko chodzono do lekarza – rany musiały goić się same. W Rachowicach była jedna kobieta, mówiło się na nią starka. Leczyła ona ziołami. Właśnie ona mnie wyleczyła.

Dawniej kobiety rodziły dzieci w domach. W Rachowicach była położna. Miała ona pod sobą całą parafię. Posiadała samochód.

Pamiętam, że jeden samochód miał też Józef Sachnik. Woził nim księdza . Sklep mieścił się w tym samym miejscu, gdzie sklep pana Langra.

Jednym właścicielem był pan Andrecki, a później pan Grzywa. Był on także właścicielem piekarni, znajdującej się z tyłu budynku.

Miał on pacholka, który rano chodził i wołał: Kto chce bułki?. Roznosił on pieczywo po domach.

Zwłaszcza dobre były pieczone amerykańki. Piekarnia istniała przed i po wojnie.

Po wsi jeździli też z piwem i z lodami. Lody były na waflu. Gdy lodziarz krzyczał: Lody, lody!, to wszystkie dzieci biegły.

Państwo Friebe mieli dwa swoje sklepy. Pani Friebe sprzedawała w spożywczym, a w mniejszym pomieszczeniu mieścił się sklep rzeźniczy. Można było przechodzić z jednego sklepu do drugiego. Istniały one do końca II wojny światowej.

Przypominam sobie jeszcze ich nazwy: Kolonial und Warenhandlung, Fleischerei und Kolonialgeschäft Fritz Friebe”.

Gmina i urząd cywilny przez pewien czas po wojnie znajdowały się w Sierakowicach, a potem dopiero w Sośnicowicach.

W domu, gdzie mieszka pan Błachut za niemieckich czasów znajdowało się przedszkole, a po wojnie przedszkole i szkoła (aż do czasu wybudowania obecnej).

Takim wydarzeniem, które utkwilo mi w pamięci, był pewien pożar. Było to już po wojnie. Piorun uderzył do kasztanowca na podwórzu, potem do dorożki leśniczego, którą ciągnęły konie. Od tej dorożki uderzyło do stodoły i całe siano się spaliło. Palił się też biały dom w nadleśnictwie.

Pamiętam też wizytę księcia raciborskiego w szkole. Przyjechał z żoną. Chodziłam wtedy do pierwszego Abteilungu (pierwsze cztery lata szkoły na patterze, potem uczyło się cztery lata na piętrze). Książę miał długą brodę i przyniósł dzieciom torbę cukierków.

Dawniejsi właściciele ziemscy w każdej swojej wiosce budowano kościół przy Dworze. Dużo na niego łożyli.

Kiedyś żyło się biednie. Tylko w niedzielę dostawało się kielbasę. Dzieci chowały ją pod talerzem, ponieważ chciały zjeść ją na samym końcu jako przysmak. Na kolację matka podgrzewała kluski, czy sos obiadu, albo jadło się chleb z wątrobianką. Kupowało się tylko mały kawałeczek i cienko się smarowało. Nikt nie mówił, że jedzenia jest za mało.

Przypominam sobie też kiedy miałam pierwszy raz kontakt z radiem. Było to w szkole. Kierownik dał każdemu uczniowi posłuchać – było to radio ze słuchawkami.

W Rachowicach istniało też boisko sportowe. Mieściło się na polach za piaskami, przy Sierakowicach. Jedno było dla chłopców, a drugie dla dziewcząt. Chłopcy grali w palanta, a dziewczyny w tambur. Piłka była skórzana. Dużo ludzi przychodziło na mecze.

Kiedy byłam dzieckiem najczęściej bawiono się w gonitwy po drodze.

Znana i modna była wyliczanka:

Eins, zwei, drei, vier auf dem Klakvier,
Sitzen vier Tauben mit goldenen Augen,
Sie fressen Papier,
Eins, zwei, drei, vier!

Na kogo wypadło cztery ten musiał gonić!

Wiosną chodziło się topić Marzanę. Wracało się z Goikiem. Do koszyka zbierało się jajka i pieniądze.

Pamiętam kilku księży. Po śmierci księdza Czecha w Rachowicach służyli: ksiądz Kania z kapelanem Tokaczem, później ksiądz Malajka, który przebywał w Rachowicach trzy lata – odszedł potem do kościoła w Łabędach. Był też ksiądz Kycia. Po nim w latach sześćdziesiątych przyszedł do Rachowic ksiądz Malcherczyk (pełnił posługę duszpasterską przez dziesięć lat). Następnie przybył do Rachowic ksiądz Buczek.

W kościele w Rachowicach była kiedyś dodatkowa ławka z przodu, obok ołtarza (w miejscu gdzie teraz siedzi ksiądz i ministranci). Siedziały tam starsze kobiety. Wszystkie były ubrane po chłopsku. W Goszycach msza odbywała się tylko raz w roku – kiedy był odpust w kapliczce.

Sierakowice były podzielone na Wielkie i Małe - Sierakowiczki.

Kiedy byłam jeszcze młoda to Wielkanoc była obchodzona trochę inaczej niż teraz.

Bożego Grobu nie było w kościele parafialnym w Rachowicach. Chodziło się modlić do Sierakowic. Gdy wychodziło się wieczorem, to wracało się następnego dnia rano, po poświęceniu wody, około dziewiątej- dziesiątej godz. Dopiero później utworzono Boży Grób w rachowickim kościele.

W Wielkanoc o czwartej rano, w czasach gdy byłam jeszcze młodą dziewczyną chodziło się myć do Goja pod most. Nie można było się odzywać. Mielśmy ze sobą konewki. Potem się klęczało i modliło po cichu Wierzę w Boga, pięć razy Ojcze nasz i Zdrowaś Maryjo. Wracało się znowu w ciszy. Kiedy wyszłam za mąż ten zwyczaj już nie obowiązywał.

Bardzo uroczyście obchodzono Zielone Świątki. W drugi dzień Świąt odbywała się procesja z Rachowic do Sierakowic z dwoma obrazami i figurą. Przy każdym obrazie musiało iść osiem dziewcząt ubranych w chłopskie stroje. Droga była piaszczysta. Domy strojono na zielono.

Zbierano kasztanowe liście i gałęzie. Wszystko przybierało się już w sobotę.

W dzień 1 maja każdy musiał mieć na chałupie moik.

Jeszcze inny zwyczaj panował 4 grudnia. Kładło się talerze na łóżko wierząc, że dostanie się prezent od Świętej Barbary.

Kiedy w Rachowicach był odpust podczas mojej młodości stała karuzela ze stołeczkami i huśtawki przez cały tydzień (gdy trzy razy się jeździło, to raz można było jechać za darmo). Karuzele i huśtawki stały też przy obu gospodach.

U Lubicha był piękny ogród i stoliki pod parasolami. Podwórze długo ciągnęło się. Gospoda w górze wsi miała wielu właścicieli. Często się zmieniali. Pamiętam, że był pan Julik, Urbanek, Wieczorek i Dubiel.

6 grudnia obchodzono Mikołaja.

Mikołajów chodziło zawsze trzech lub czterech, z kilkoma diabłami. Dzieci bardzo się ich bały, gdyż tęgo bili. Dlatego zawsze się chowały. Pani Drewniok schowała się swego czasu w komorze, a jej koleżanka weszła do beczki z kapustą.

Za czasów mojej młodości każda dziewczyna musiała mieć co najmniej trzy kapelusze: wiosenny, letni i zimowy.

Wiosenny można było nosić i jesienią. Był on bardzo strojny, słomiany.

Letni robiono z białej słomy z brokatem. Przybrane były kwiatami, wieńcem, różą.

Zimowe kapelusze były z filcu.

Chociaż były drogie taka panowała moda i trzeba było je mieć.

Ja miałam pełną szufladę kapeluszy. Osobne były na święta, a osobne na dni powszednie. To samo było z butami – najlepsze zawsze były na niedzielę. Kiedyś kobiety ubierały się po chłopsku. Nosiły tak zwane jakle. Ja ubierałam się już po pańsku. Dziś w Rachowicach nie ma już ani jednej kobiety noszącej się po chłopsku.

Wspomnienia pani Magdaleny Żur

Urodziłam się w maju 1920r.

Mój rodzinny dom został zbudowany w 1904r, a ten w którym teraz mieszkam jest starszy, pochodzi z ok. 1880r.

Wojnę w Rachowicach przetrwały trzy prastare domki drewniane. Jeden z nich był trochę zmodernizowany, dwa były identyczne.

Przez środek biegła sień. Po jednej stronie znajdowała się jedna duża izba, w tyle mała komóreczka, a po przeciwnej stronie sieni znajdował się chlewek albo mała stodołka. W izbie w rogu stał piec z otwartym kominem i małe okienko – to wszystko. Mieszkały tam wielodzietne rodziny. Moja teściowa opowiadała, że zdarzało się nawet tak, iż najstarszy syn wracał z pracy, a w izbie rodziła matka. Tak wyglądało dawniejsze życie.

Tych domków teraz już nie ma – nie przetrwały, zostały zburzone.

Pan Józef Szyma dawno temu wyrzeźbił w drewnie figurę Św. Anny, Boży Grób, figurę Dobrego Pasterza.

Figura Jana Chrzciciela stała kiedyś na pagórku przed Kinderheimem. Gdy Johannesheim zniszczono, przeniesiono tę figurę do kościoła w Rachowicach.

Wiele miejsc w Rachowicach określa się jeszcze starymi nazwami: Feldscheuna, Stara Suszarnia, Potampa, Stara Cegielnia, Zyja, Brzeziny, Stary Staw.

Feldscheuna stała kiedyś przy kasztanowej drodze na majątkowym polu. Było to duże pomieszczenie, do którego zwożono zboże. Przyjeżdżała młócarzka i młócono zboże przez długi czas.

Stara Suszarnia znajdowała się w ostatnim domu w Rachowicach po lewej stronie drogi do Sośnicowic. Suszyli tam szyszki (od tego Rachowiczian nazywano *szyszkorze*). Była to leśniczówka.

Na przeciwnym końcu wsi znajdowała się druga leśniczówka, która nazywała się *Potempa*. Zresztą cały ten koniec wsi nazywany jest *Potampą*. Mieszkał tam gajowy i znajdowało się wielkie gospodarstwo. Całe pole, aż pod las należało do nadleśnictwa..

Rachowice od najdawniejszych czasów były podzielone na dwie części- Zyję i Brzezinę.

Zyja mieści od Sierakowic po Bojszów po lewej stronie Rachowic, aż pod las idący do Łączy. Po niemiecku die See to jezioro, więc nazwa Zyja musi pochodzić od jeziora. Tereny te bowiem były bardzo podmokłe.

Brzeziną zaś nazywano teren od domu leśnika do lasu przy drodze na Łany (do *łońskiej drogi*).

Stara Cegielnia -znajduje się to miejsce w lesie przy końcu wsi w drodze na Bojszów.

Wybierano tam glinę na cegły, więc bardzo dawno temu musiała mieścić się tam cegielnia. Koło cegielni zawsze są stawy. Jednym z nich był Stary Staw.

Stary Staw to miejsce za Starą Cegielnią. Kiedyś ponoć wybierano tam glinę na cegły. Był on w dolinie, a na polne obok chodziło się na jagody.

Po lewej stronie jadąc do Bojszowa znajdował się *Malniok (Malnik)*. Potem była tam tylko łąka.

Teraz te wszystkie miejsca są zalesione.

Przed II wojną światową w Rachowicach znajdował się jeszcze staw naprzeciw *Goju*. Staw był ładny, czysty, a na jego powierzchni pływały olbrzymie, białe lilie wodne. Bardzo często również w nim pływano.

Rachowice otoczone są ze wszystkich stron lasami. Dawniej wszystkie lasy były ogrodzone, żeby zwierzyna nie wychodziła na pole.

W niektórych miejscach były wrota (na drodze do Łan, Kozłowa i na kasztanowej drodze). Ludzie, którzy wjeżdżali do lasu, otwierali je. Wieczorem zamykał je specjalny strażnik. Jego obowiązkiem było trąbić na trąbce, żeby odstraszyć zwierzynę leśną, która wychodziła na pole. Strażnik miał obchód co godzinę.

W tych samych czasach (a było to jeszcze przed rządami Hitlera) wieści roznosiła specjalna osoba, tak zwany Herold. Był nim pan Morcinkowski. Ten człowiek chodził po całej gminie ze specjalnym dzwonkiem z gryfem. Stawał co 30- 50 m. i ogłaszał wieści. W ten sposób to, co było do powiedzenia docierało do wszystkich mieszkańców we wsi. Ludzie słysząc dzwonek wiedzieli, że coś będzie ogłoszone.

Nie było wtedy jeszcze prądu. Elektryczność zaistniała dopiero za rządów Hitlera.

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku po powstaniach śląskich dużo mówiło się po polsku. Za rządów Hitlera mówiło się po niemiecku. A u nas w domu mówiło się po śląsku. W całych Rachowicach posługiwano się jakby językiem mieszanym, pół polskim, a pół niemieckim.

Ludność Rachowic była podzielona można powiedzieć, że po połowie, zwłaszcza podczas powstań śląskich – jedni byli za Polską, inni za Niemcami. Duża część mieszkańców miała swoich krewnych w innych częściach Śląska należących już do Polski - w Katowicach, Bytomiu, Chorzowie, części Zabrze. Niejeden gospodarz miał pole na polskiej stronie, a mieszkał na niemieckiej, lub odwrotnie. W Niemczech lepiej się żyło, niż naszym krewnym w Polsce.

Z Niemiec do Polski można było jeździć na rowerze, gdyż granica przebiegała niedaleko, była zaraz za Gliwicami, później przed Zabrzem, w Makoszowach. Okazywało się dowód osobisty.

Moja rodzina miała dużo krewnych w Polsce. Przez granicę uprawiano wielki przemysł – byli tacy, którzy z tego żyli. W Niemczech przemysł był lepiej rozwinięty, więc Polacy przewozili co się dało. W Polsce Niemcy kupowali najczęściej buty.

Pamiętam, że gdy przechodziło się przez Odrę, np. w Raciborzu to szło się w kapciach, w Polsce kupiło się nowe buty, ubierało je, a kapcie wrzucało do Odry.

Rachowice były kiedyś wielką parafią. Należały do niej cztery kościoły: Rachowice, Bojszów, Łacza i Sierakowice.

Na odpust do Rachowic przychodziły stamtąd wielkie procesje, podobnie na Wielkanoc. Było tak wiele ludzi, że nawet nie można się było ruszyć. Kiedy rozdzielono parafię to procesje ustały.

Za Hitlera od 1933 r. takie procesje nie były już dozwolone, gdyż jego polityka uderzała w kościół. Wtedy trzeba było mieć specjalne zezwolenie. Prześladowań jeszcze nie było, ale podobnie jak za komunistycznych czasów nie pochwalano manifestacji religijnych.

Na pielgrzymkę na Górę Św. Anny nie szło się z procesją, zwartą, liczną grupą, tylko chodzono indywidualnie, po dwie, trzy osoby. Na Górze Św. Anny obchody były dozwolone.

Przed II wojną światową późniejszy PGR nazywano Dworem. Pracowały tam całe rodziny. Za pracę dostawały niewielką zapłatę. A roboty było co niemiara. Niektóre kobiety pracowały w stajniach, inne czyściły i doily krowy, sprzątały obornik, a mężczyźni pracowali końmi w polu.

Z bardzo dawnych czasów pamiętam jeszcze, że na polu pracowało się wołami. To zwierzę bardzo utrudniało pracę, było wolniejsze nawet od osła!

We Dworze wszystkie roboty w polu wykonywało się jeszcze ręcznie (sianie, koszenie, oranie, sadzenie). Pracowali tam nie tylko mieszkańcy Rachowic - tych było za mało. Po pewnym czasie majątek dworski podzielono i zaczęli go uprawiać gospodarze.

Gdy dziewczyna kończyła szkołę, to szła do pracy albo do lasu, albo do majątku. Pamiętam dawną piosenkę o rachowskich *dziolchach*.

Te rachowskie dziolchy,

moc w sobie dufają,

po jednej spódnicy do kościoła mają,

jak idzie do kościoła nie patrzy różańca,

jedna drugiej szepce, którego ona chce.

Idzie z kościoła prosto do szynkierki,

Nalejcie mi tam z ćwierć kwarty gorzałki!

Idzie do domu, głowa jej się chwieje,

Matka ją się pyta, co jej się to dzieje.

- Matuliczko moja na różańcu byłam!

- O tyś córo moja, tyś gorzałkę piła!

Matka jej nie wierzy, idzie do szynkierki –

Czy piła tu jej córka gorzałki?

- Piłać ona piła, piły ich tu cztery,

pół litra gorzoły narolż wychyliły!

Matka idzie do dom, ona szuka kija!

- Oj ty córko moja – ja ci naszmaruja!”

Była jeszcze jedna przyśpiewka, ale tej nie pamiętam już całej.

Żył sobie kusy Janek,

co chodził z toporkiem,

Kosturem się opasywał,

Podpierał się workiem...

Miał za piecem starą studnię,

Ryby z niej wybierał,

Wodę zagrabiał grabiami,

Ptaki piaskiem strzelał ...

Te piosenki nauczyłam się od mojego dziadka, który był muzykantem.

Starym wiejskim zwyczajem było topienie Marzanny. Wychodziło się ze szkoły najpierw z *Goikiem*. Śpiewano między innymi :

...przed tym domem jest kałuża, a ta gospodyni jest piękna jak róża..

Te przyśpiewki śpiewano po polsku. Ja umiałam mówić po niemiecku i po polsku. Najgorzej było z pisanem po polsku. Po wojnie musiałam nauczyć się sama, gdyż nie miałam czasu chodzić na kurs.

Ze swoich najwcześniejszych lat pamiętam śmierć księdza Czecha w 1926 r. Długo przebywał w Rachowicach. Pochodził on z Ostropy. Moi rodzice jechali na ten pogrzeb już na rowerach. Z Rachowic szła wtedy procesja ze sztandarami, i wiele ludzi. Dziewczyny ubrane były na biało. Pamiętam, że ksiądz leżał w kościele. Straż Pożarna pełniła wartę, aż go wyniesiono.

Dawniej nie było kaplic cmentarnych – zmarli leżeli w domu. Tam przez trzy kolejne dni gromadzili się ludzie i modlili się.

Wieńce pogrzebowe i na uroczystość Wszystkich Świętych robiło się samemu. Brano choinę z lasu, a kwiaty robiono ze specjalnych bibulek.

Gmina znajdowała się przez pewien czas w Rudzieńcu, a później w Sierakowicach.

Sołtys, który mianował się burmistrzem był też urzędnikiem stanu cywilnego, zajmował się ślubami i narodzinami.

Rachowice początkowo po wojnie były obsługiwane przez pocztę w Sośnicowicach. Stamtąd przyjeżdżał tu listonosz. Potem przeniesiono urząd pocztowy do Sierakowic.

Kiedy byłam małym dzieckiem rajem dla dzieciaków była ulica. Samochody nam nie zagrażały. Boiskiem była droga. Urządzaliśmy tam wyścigi i różne dziecięce zabawy.

Zimą ubieraliśmy na nogi drewniane pantofle ze skórzanym obiciem. Zimy były bardzo śnieżne. Łyzew wtedy nie znano, a ślizgać się chciało. Wbijano się więc drut pod deskę pantofli i to były łyżwy.

W czasie zimy bawiliśmy się też inaczej. Na stawie kiedy lód nie był jeszcze za gruby, rozbijało się go na większe i mniejsze kawałki, a potem urządzało się wyścigi, komu pierwszemu udało się przebiec po taflach.

Druga dziecinna zabawa odbywała się na grubym lodzie na stawie. Chłopcy w środku robili dziurę i wbijali drewniany kół. Dookoła wybijało się mały rowek, potem brano sztachetę, wbijało się w nią gwóźdź i odpychało się. Była to taka zimowa karuzela.

Nie grało się tak jak dzisiaj w piłkę nożną, tylko piłką się rzucało. To był palant. Gra polegała na tym, że były dwie drużyny, jeden z zawodników odbijał piłkę, a wszyscy pozostali biegli za nią. Ten który ją chwycił odbijał ją z powrotem.

Szkoła znajdowała się przed wojną i podczas wojny koło kościoła. Istniała gdzieś tam mniej więcej do 1948r.

Wchodziło się do niej po kilku schodkach. Na dole znajdowała się jedna klasa, na górze druga. W sumie były dwie klasy i trzech nauczycieli. Do nauki byli tylko nauczyciele, ale do prac ręcznych była nauczycielka. Uczyła dziewczynki szycia, szydełkowania, robienia na drutach.

Nauka trwała osiem lat.

Dyrektorem był pan Kropsch. Pozostali nauczyciele to pan Brixie i pan Herud. Pan Herud był bardzo utalentowanym nauczycielem. Co roku w karnawale organizował wieczór dla rodziców – tzw. *Elternabend*. Była to wystawa prac dziecięcych. Towarzyszyły jej śpiewy, wiersze i skecze wyuczone i wykonywane przez dzieci. Po tym przedstawieniu miała miejsce zabawa dla rodziców.

Przedmioty w szkole były następujące: matematyka, język niemiecki, przyroda, historia, śpiew, roboty ręczne. Uczono nas również trochę o kopalniach i fabrykach.

Zwracano uwagę na zachowanie uczniów.

Śpiewu uczył jeden nauczycieli.

Dawniej w szkołach uczyli tylko mężczyźni, ale do prac ręcznych mieliśmy nauczycielkę. Nazywała się Wieczorke.

Na religię przychodził do szkoły ksiądz. To był przeważnie ksiądz Kycia. Bardzo rzadko zdarzało się, że zastępował go jakiś inny kapelan.

Nauczyciele ubierali się trochę lepiej, niż inni mieszkańcy wioski. Chodzili w garniturach.

Dzieci do szkoły ubierały się skromnie, w to, co kto miał. Rodziny były bowiem wielodzietne. Nie było wtedy jeszcze garniturków i fartuszków dla uczniów.

A podczas wojny już z konieczności chodziło się w tym, co było w domu. Nic się po prostu nie dało kupić. Otrzymywało się 25 cm materiału na rok, na zaszywanie dziur. Można było coś dostać tylko za specjalnym zezwoleniem burmistrza. Po wsi chodziło się w drewnianych chodakach i w tym, co kto miał i na co kogo było stać.

W Rachowicach przed i podczas wojny burmistrzem był pan Lubich. Urząd burmistrza mieścił się niedaleko kościoła. Burmistrz mieszkał dwa domy dalej, zaraz koło plebanii. Burmistrz Lubich nie był Rachowiczanie, pochodził z Nakła, koło Bytomia.

Burmistrz był właścicielem restauracji, która mieściła się przy jego domu. Wchodziło się od frontu od razu do sali restauracyjnej. Na końcu sali stał bufet. Mieszkanie było w tyle. Obok restauracji w rogu podwórza stał taki mały domek. Przez pewien czas mieszkał tam parobek księdza, który na plebanii obsługiwał konie.

Wcześniej właścicielem restauracji był pan Czepy.

Prawie wszystkie rodziny w wiosce posiadały pole. Kto nie miał własnego, to wynajmował ziemię z majątku. Każdy miał przynajmniej pół morgi. O morgę pola wynajętego to czasem ludzie się i pokłócili.

Nie wszyscy mieli konia, tylko więksi gospodarze, którzy nim pole obrabiali. Za wypożyczenie konia trzeba było zapłacić, albo odpracować u poszczególnego gospodarza.

Wykopki były oczywiście na jesieni. Od dawien dawna kisilo się także kapustę, ubijając nogami. Każdy dom miał również swój ogródek warzywny.

Żniwa były całym ceremoniałem. To było wielkie wydarzenie i bardzo ciężka praca. Trzeba było się nieźle napocić. Każdy kto miał choć mały kawałek pola kosił sam. Mężczyzna kosił, a kobieta

ubierała. To ciężka robota. Kobieta miała nieraz problem, aby nadążyć za mężem. A żaden gospodarz więcej niż jednej kobiety do pracy nie wziął, gdyż liczone się z każdym groszem.

Pamiętam jeszcze czasy, w których młócono zborze cepami. To była znów robota na całą zimę. Ale trzeba to było umieć robić, wprowadzić jeden takt – dawniejszą muzykę zimową. Od razu można było usłyszeć, czy umieją wszyscy młócić, czy nie. Młóciło się u gospodarza kilka dni. Potem powoli wprowadzono młocarki. Kto nie miał, ten jeździł ze zbożem na podwórko do gospodarza, który posiadał młocarkę. Niekiedy ludzie nawet pokłócili się o kolejność młócenia.

Po żniwach robiono koronę żniwną na podziękowanie za udane zbiory. Koronę robiono w ten sposób, że gotowane ziarno napychano na cieniućki drucik, z tego dopiero robiono ozdoby. Robiono to w Majątku gdyż dużo ludzi tam mieszkało. Była to miła, ale precyzyjna robota. Korona nie była aż tak wielka jak dzisiaj, ale artystycznie ciekawa.

Na Dożynki piekło się kołocz.

Inny zwyczaj był na Zielone Świąta. Stroiło się wejścia do domów zieleniną, świeżymi gałęzmi.

Ciekawy był *Babski Comber*, który odbywał się w czasie, gdy kończył się karnawał, a zaczynał Wielki Post. Kobiety się wtedy przebierały i bawiły. Bał maskowy odbywał się w gospodzie u Wieczorka.

Podczas Wielkanocy nie święcono pokarmów w Wielką Sobotę.

W Wielki Piątek czuwanie przy Bożym Grobie trwało całą noc. Zawsze ktoś z parafii siedział i czuwał. Dość dużo ludzi przychodziło.

Lanie wodą w Poniedziałek Wielkanocny było też – młodzi chodzili z wiadrami.

Mikołaj przed wojną w Boże Narodzenie był, ale tylko w niektórych rodzinach. Tam były prezenty, ale raczej skromne.

6 grudnia razem z Mikołajem chodziły przebrane diabły i anioły.

Mikołaj jeszcze był ubrany przyzwoicie, ale anioły i diabły już tylko w to, co było. Przebierano się w stare kożuchy, płaszcze, wiązano łańcuchami i robiono warkocze ze słomy.

Oni bili dzieci oraz tych, których akurat złapali. Nie chodzili po wszystkich domach, ale tylko tam gdzie ich wpuszczono. Biada była temu, kto się w tym czasie pokazał na drodze – dostał tęgie baty!

Podczas Bożego Narodzenia istniała już tradycja choinki i darów. Bombki też już były. Nie było jednak wielkiego wyboru. Kupowało się je w sklepie, ale ręczne ozdoby też były.

I tak robiło się różne papierowe łańcuszki, gwiazdki, orzechy obklejało się posrebrzonym papierem, a przede wszystkim wieszano się pierniki. Pierniki na święta każdy piekł we własnym domu., piekło się też makowiec, a na Wielkanoc struclę.

W Nowy Rok chodziła po wsi orkiestra. Najpierw zagrała jakąś kolędę, a potem kawałek marsza.

Najpierw grajkowie szli do proboszcza, a później chodzili po ludziach. Czasami w Sylwestra była zabawa.

Zanim właścicielem gospody *na górze* był Wieczorek, należała ona do *Julika*- Juliusza Urbanka. Gospoda na dole przed Lubichem też miała kilku właścicieli. W dawnych czasach też była kołęda, tak jak teraz, w kościele również ministranci, ale podczas mszy ksiądz sam wszystko czytał, a komunię też rozdelał osobiście.

Obchodzono te same święta co dzisiaj: Trzech Króli, Piotra i Pawła, Wniebowstąpienie, Wszystkich Świętych. Były to dni wolne od pracy.

Święto Piotra i Pawła oraz Wniebowstąpienie obchodzono uroczyściej, niż dziś. Dzień Wszystkich Świętych przeżywało się bardziej, niż obecnie. Teraz po kościelnych uroczystościach parafianie rozchodzą się do domów, a dawniej było się na cmentarzu, aż do zmroku.

Świecek paliły się na cmentarzu całą noc. Nie było zniczy. Czasem bywało, że ziemia była tak zmarznięta, że nie można było wsadzić świeczek do ziemi. Dlatego mój ojciec robił takie spirali, do których wkładało się świeczkę i drut wbijało się w ziemię. Dawniej były tęgie mrozy.

Czasami we Wszystkich Świętych wsadzało się świeczkę w głowę dyni, w której były wycięte oczy, usta i nos. Dynię wbijało się na płot, ale ten zwyczaj się nie przyjął.

Przed wojną i aż do początku lat sześćdziesiątych proboszczem był ksiądz Kycia. Mieszkali z nim jego rodzice i siostra. Miał służącą Agnes, która pracowała w kuchni, a druga pracowała w chlewie.

Pieniądze na ofiarę w kościele wrzucało się do mieszka zawieszzonego na długiej żerdce. Z tym woreczkiem chodził jeden człowiek od ławki do ławki.

Nauczanie katechizmu przed I Komunią i pierwszą spowiedzią odbywało się w Rachowicach. Prowadził te lekcje ksiądz. Przychodziły na nie dzieci piechotą z Bojszowa, Łączy i Sierakowic.

Dziewczynki ubierały się w białe sukienki, które mamy same szyły, a na głowach miały skromne wianuszki. Przeważnie nosiły długie włosy upięte w warkocz. Chłopcy przystępowali do I Komunii w ciemnych garniturach.

Msze święte odbywały się w niedzielę tylko raz dziennie.

Po południu były Nieszpory lub Gorzkie Żale.

Różaniec odprawiany był w kościele dziennie wieczorem.

Majowe odbywało się w kościele codziennie wieczorem. Jeżeli była rano msza, to na różaniec i majowe trzeba było chodzić osobno. Wtedy nie było jeszcze zwyczaju, żeby dziewczęta chodziły na majowe w bieli i z kwiatami.

Bardzo hucznie odprawiano się wesela.

Byłam kiedyś na takim weselu. Odbywało się ono w domu panny młodej. Pan młody szedł do domu panny młodej z orkiestrą, a potem szli do kościoła. Panna młoda należała do Kongregacji Mariańskiej, a pochodziła z Rachowic. Na jej ślubie trzy dziewczyny niosły sztandar.

Śniadanie po mszy weselnej miało miejsce w domu, potem szło się do gospody i na salę, gdzie tańczono do obiadu. Na obiad wracało się do domu, posiedziało trochę. Wypito jeszcze kawę zbożową, zjedzono to, co zostało ze świniobicia – krupnioki, zymloki, a na deser kołocz. Po kawie

znów szło się do gospody. Tańczono i bawiono się, aż do kolacji, na kolację znów wracało się do domu., potem tańczono aż do rana.

Przeważnie urządzało się jeszcze poprawiny. Panna młoda musiała jeszcze raz chodzić rano po domach i jeszcze raz prosić wszystkich gości.

Na każdym weselu byli też druhny i družbowie, w zależności od wielkości wesela, w liczbie od dwóch do siedmiu par. Rozpoczynała się rywalizacja, która sukienka bogatsza. Co to był za widok, jak pięknie wystrojone druhny wysiadały z bryczek!

Na większe uroczystości jeździło się bryczką, a nie furmanką. Tańczyło się przede wszystkim walce angielski i wiedeński, tanga, Schieber, Rheinlander, a podczas oczepin rzucano welonem.

Dawniej rodziny były wielodzietne. Chrzcziny odbywały się prawie co niedziela, przed nieszporama. Uczestniczyli w nich rodzice, rodzice chrzestni i rodzina.

W Boże Ciało miała miejsce procesja. Chodziło się tylko główną ulicą. Asfaltu nie było, tylko piaskowa droga. Był chodnik na rower.

Na *zapłociu* było tylko pole, domki powstały dopiero po wojnie. Ostatni ołtarz znajdował się w domu za strażą pożarną. Procesja tam zawracała i szła drogą powrotną do kościoła. Jeden ołtarz był w starej szkole. Później jeszcze dwa – po lewej i prawej stronie drogi. Procesja była bardzo uroczysta, małe dziewczynki ubrane na biało, rzucały kwiatki. Sztandary były inne. Nie było na nich napisów – tylko obrazy. Komunijne dzieci chodziły ze świecami. Orkiestra wtedy nie grała.

Kiedy chodziłam już do szkoły, za niemieckich czasów pamiętam, jak został poświęcony obelisk, który stoi przed kościołem, postawiony na pamiątkę żołnierzom poległym w czasie I wojny światowej.

Do Rachowic wówczas przyjechał naczelnik policji z Sośnicowic na koniu, towarzyszył mu pomocnik. Przypominam sobie jego postać. Uczestniczyła w tej uroczystości jakaś delegacja i śpiewana była niemiecka pieśń. Grała też orkiestra.

Tam, gdzie teraz znajduje się szkoła podstawowa, mieścił się *Johannesheim*, w którym mieszkali zakonnicy.

Był to zakon świecki – żeński i męski. Mieszkało tam kilka sióstr i braci. Należeli do *Zakonu Białego Krzyża*. Prowadzili własne gospodarstwo. Mieli krowy i ogród warzywny. Była tam kaplica i ksiądz. Kto nie miał możliwości iść do kościoła *na dole*, ten chodził na mszę do *Johannesheimu*.

Dla chętnych prowadzono tam takie ćwiczenia duchowe. Można było tam zjeść obiad, ale całkowicie wegetariański – wszystko na jarzynach.

Znajdował się tam też szpital dla alkoholików. Ale stać było na niego tylko bogate rodziny.

Do budynku koło Groty, przyjeżdżały na wakacje dzieci. Całe lato tam spędzały. Jedne wyjeżdżały, przyjeżdżały następne. Były tam dzieci z Gliwic, Bytomia, Zabrze i z całego Śląska, gdyż to miejsce miało charakter zdrowotny. Uczyły się tam i odpoczywały aktywnie.

Rano było śniadanie, po obiedzie konieczny był odpoczynek – dzieci musiały leżakować. W międzyczasie odbywało się kilka lekcji.

To miejsce w tej chwili już nie istnieje, zostało wyburzone, ponieważ zniszczyło się nie będąc remontowane podczas rządów komunistycznych.

Doskonale pamiętam kierowniczkę, która prowadziła tę instytucję. Miała ona trzy córki i pochodziła z Gliwic.

Ważnym miejscem dla Rachowic był las *Rachowitzerschweiz*.

Znajdował się on po prawej stronie, gdy się jedzie z Rachowic do Sośnicowic. Przeważał tam bardzo wypielęgnowany las bukowy. Buki mają bardzo obszerne korony, dlatego pod nimi wybudowano budki i jedną drewnianą szopę.

Co roku odbywał się tam *Tag der Heimat*. To były naprawdę piękne dni!

W lesie ustawiano budki z jedzeniem i piciem. Naturalnie piwo i wódka też były. Mieścił się tam parkiet do tańca i podwyższenie do wystawiania sztuk teatralnych. Było też jedno, wielkie pomieszczenie, w którym stały ławy i stoły, na wypadek deszczu. Odbywały się też w tym rejonie zawody strzeleckie. Świątującym zawsze towarzyszyła orkiestra – jak na każdym festynie ludowym.

1 maja zwłaszcza świętowano tam za Hitlera.

Bardzo dbano o ten zakątek. Połączony on był ze stawem, na terenie którego teraz mieści się *ścieżka zdrowia*. Kapali się w nim ludzie i opalali. Bardzo piękny prowadził stamtąd chodnik, aż na szosę. Kiedyś jednak przyszła burza z wielką ulewą i w stawie przerwało śluzę. Zniszczonego stawu nie odbudowano. Porosły tam drzewa. Tylko rzeczka płynąca do Sierakowic pod mostkiem jest pozostałością po tym miejscu.

Pięknym zakątkiem w Rachowicach była także Grota. Doglądali ją braciszczowie z *Johannesheimu*. Troszczyli się o kwiaty i całą roślinność, otaczającą to miejsce. Uprawiano tam pierwsze ogródki skalne. Kamienie były czyste i nie obrosnięte. Bardzo dbano o ten teren, gdyż latem przyjeżdżały tam wycieczki z miasta i okolic, w maju odbywały się tam nabożeństwa majowe, a gdy zbliżała się jesień, szła tam procesja ze świecami (podobnie, jak na Górze św. Anny).

Procesje wokół kościoła chodziły na Wielkanoc i odpust.

Podczas odpustu ludzi było bardzo dużo, gdyż uczestniczyły w nich procesje z wszystkich czterech kościołów parafialnych.. Był duży ścisk i tłok. W procesji uczestniczyły wszystkie sztandary.

Były także budy odpustowe. Było ich dużo, czasami ciągnęły się kilka metrów za kościół.

Dawniej było mało budek z zabawkami, gdyż mało kto mógł sobie na nie pozwolić. Przede wszystkim sprzedawano słodycze, czasami też piwo. Cieszyło się ono dużym powodzeniem, ponieważ podczas upału, ludzie idący pieszo z okolicznych wiosek, byli spragnieni. Stała też buda z kiełbasą i z bułkami. Czasem była i karuzela.

W Rachowicach była też straż pożarna. Istniała już przed wojną. Była konna. Pamiętam niektóre pożary. Wielki pożar wybuchł kilka razy w domu państwa Lakwa. Byłam wtedy bardzo mała. Dużo później podpalano stodoły. Przypominam sobie, że gdy byłam małym dzieckiem, miał miejsce jeden pożar. Konna straż pożarna jechała wtedy do ognia wielkim tempem, w cztery albo pięć koni. Pamiętam tę sikawkę. Było to wyjątkowe przeżycie dla dziecka, które nie chodziło jeszcze do szkoły. Straż zawsze miała swojego Komendanta.

W Rachowicach istniały kiedyś dwa sklepy.

Jak na tamte czasy, były one bogato zaopatrzone. Zawsze stały w nich obok siebie beczka z naftą i beczka z solonymi śledziami. Za nimi przeważnie leżało mydło. Jednak nikt nie umarł od niehigienicznego trybu życia, jaki wtedy prowadzono. W sklepie znajdowały się rzeczy codziennego użytku: cukier, sól, mydło i zapalki. Sklepy te pamiętam jako dziecko.

Jeden sklep należał do państwa Stillerów, a później do państwa Friebe. Był to sklep spożywczy i rzeźniczy. Państwo Friebe przybyli do Rachowic z Gliwic. Zmodernizowali swój sklep. Były tam towary na wyższym poziomie, lepszej jakości.

Właścicielami drugiego sklepu byli na samym początku państwo Szczęsny. Później dom ten razem ze sklepem został kupiony przez Tomasza i Jadwigę Wolny. Kiedy państwo Wolny wybudowali obok starego domu nowy dom, przenieśli do niego również swój sklep. Sklep ten mieści się tam do dziś z tą tylko różnicą, że ma innego właściciela.

W latach dwudziestych, kiedy pracowało się w mieście w fabrykach i hutach, to do pracy chodziło się pieszo albo dojeżdżało się rowerami (jeśli ktoś miał).

Pieszko szło się do Taciszowa przez Bojszów, potem lasem. W Taciszowie znajdował się dworzec i stamtąd jechało się do Gliwic pociągiem. Dojeżdżało się przeważnie raz w tygodniu. Kwaterowało się u znajomych albo u krewnych.

Przed wojną, gdy ktoś chciał się dostać do miasta na zakupy, to przychodził do moich dawnych sąsiadów – państwa Kalników. Oni mieli gospodarstwo (teraz ich domu nie ma, został zburzony). Gospodyni brała furmankę i konia i jeździła do Gliwic raz, czy dwa razy w tygodniu, zabierając z podwórka chętnych. Za przejazd płaciło się 50 pfennigów.

Potem były już autobusy. Podczas wojny brakowało nawet kierowców do autobusów. Autobus prowadził człowiek, który nie był zdolny do służby wojskowej (miał dość mocny garb).

Autobus ten jeździł podczas wojny. Autobus był tylko jeden i jeździł trasą: Sierakowice, Rachowice, Sośnicowice, Smolnica i Nieborowice, aż do Gliwic. Wyjeżdżał gdzieś około szóstej rano, a wracał po pracy około czternastej. Ja też nim jeździłam, gdy pracowałam przez jakiś czas w zakładach mebli w Gliwicach (przed wojną był to zakład tapicerski).

Niewielu było pasażerów. Nikt nie wpychał się siłą do autobusu. Obowiązywała dyscyplina przy wsiadaniu. Gdy autobus jechał z powrotem, to na przystanku koło szpitala pierwszeństwo mieli przychodzący ze szpitala. Pierwsze siedzenia przeznaczano dla nich. Potem wsiadano według kolejności wiosek na trasie.

Podczas wojny chłopów nie było we wioskach, więc kobiety same musiały wykonywać różne prace.

Żyło się dzięki otrzymywanym kartkom. Racje były więcej niż skromne. Tłuszcze otrzymywali tylko górnicy – 25 dag. na cały miesiąc. Ale trzeba było jakoś wyżyć. Po wojnie też istniały przydziały żywnościowe, ale był większy bałagan.

Kiedy zbliżał się front i nadchodzili Rosjanie, dużo stuprocentowych Niemców uciekło na zachód.

Trzy czołgi przyjechały do wsi i stanęły. Niemieckie samoloty przeleciały. Musiały te czołgi zauważyć i poleciały po jakąś pomoc. Po jakimś czasie wróciły. Nie wiem, ile ich było. Gdy czołgi były już przy kościele, wtedy niemieckie samoloty spuściły bomby. Ile bomb spadło tutaj, tego tak

naprawdę nikt nie wie (niedawno znaleziono dwie bomby jeszcze z tamtych czasów, w okolicach, gdzie stała dawna szkoła).

Jedna bomba spadła przed Majątkiem. Dokładnie nie wiem, co się stało. Jedni mówili, że jeden czołg się całkowicie wypalił, inni, że tylko oberwał. W każdym razie nie był już zdolny do dalszej jazdy i ucieczki.

Czy tam ktoś zginął? Tego nie wiem. Pozostałe dwa czołgi musiały się gdzieś schronić.

Zbombardowany ruski czołg został stać na długi czas niedaleko kościoła przy mostku, koło starej szkoły.

Przy okazji niemieckie bomby zniszczyły gospodę u Lubicha. Niektóre rzeczy się uratowały, gdyż Lubichowie je замуrowali. Tylko mury zostały.

Palila się plebania przy kościele, ale tego nawet nikt nie wiedział. Ludzie nie wychodzili z domu, bano się.

Pamiętam, jak palił się *Johannesheim*. Wtedy u nas w domu byli już pierwsi Rosjanie. Patrzyłam z okna i pamiętam, jak powiedziałam:

- *Boże, pożar! To jest Johannesheim!*

A ten Rus powiedział:

- *To Niemcy zapalili.*

Ale to nie była prawda. Zostały mury, ale w środku wszystko było wypalone. Dawniejszy *Johannesheim* był wyższy trochę, niż obecna szkoła.

Została spalona także plebania. Wyglądała jak zwykły domek, nie posiadała piętra, była niska, długa, pomalowana na żółto.. Przed domem była sień i ganek. Zaraz po prawej stronie od wejścia znajdowała się kancelaria, na wprost kuchnia, a po lewej stronie mieściły się dwa pokoje.

W Rachowicach wiele rzeczy zostało zburzonych i zniszczonych podczas okupacji sowieckiej.

Wypalony został także budynek, w którym mieściło się nadleśnictwo rachowickie. Był to kiedyś taki większy i lepszy dom. Nigdy nie byłam tam w środku, ale z zewnątrz budynek ten przypominał mały zameczek. Była tam taka mała wieżyczka murowana, wysoka na półtora metra. Znajdowało się tam kilka pokoi i służące. Właściciel nie mieszkał tam. Posiadał parę koni i parobka. Nadleśnictwo rachowickie przed wojną było słynne.

Podczas okupacji radzieckiej działy się przykre i smutne rzeczy – tego raczej się nie wspomina. Było – minęło. Rosjanie zachowywali się tak, jak wszędzie. Grabili i wywozili, gdzie i ile się dało. Chodzili na panienki – trzeba się było zabezpieczać, uciekać i kryć się, gdzie kto mógł.

Moja rodzina nie posiadała piwnicy. Mieliśmy komorę. Przed drzwiami do niej stała szafa (szafy były wtedy lekkie, bo małe). Cofaliśmy ją i wskakiwaliśmy do komory. Chowano się też w sianie w stodole.

W Rachowicach Rosjanie przebywali długo, ale zmieniali się – po jednych przychodzili inni.

Wspomnienia państwa Hildegardy i Jerzego Król

Pani Hildegarda Król urodziła się w sierpniu 1922r., a pan Jerzy Król w

Do szkoły chodzili oboje w Rachowicach.

W tamtych czasach rok szkolny zaczynał się na początku kwietnia, a kończył pod koniec marca. Do szkoły chodziło się od szóstego do czternastego roku życia.

Do pierwszej klasy przyjmowano uczniów, którzy urodzili się w pierwszej połowie roku, tzn. do sierpnia, a tych którzy urodzili się od września do grudnia przyjmowano do szkoły w roku następnym.

Ponieważ pani Król urodziła się pod koniec sierpnia rozpoczęła szkołę w wieku 5,5 lat. W szkole znajdowały się tylko dwa pomieszczenia. W jednym była klasa pierwsza i druga, a w kolejnym trzecia i czwarta, gdy jedne klasy kończyły przychodziły następne.

Piąta, szósta, siódma, ósma klasa uczyły się na piętrze. Prowadził te lekcje inny nauczyciel.

Dłuższe wakacje był dwa razy w roku.

Raz na żniwa, gdyż przeważnie w każdym domu było gospodarstwo i krowy – były to wakacje letnie. Trwały ok. trzech tygodni. Jesienią natomiast były tak zwane ferie kartoflane i trwały ok. czterech tygodni. Przeznaczano je na kopanie ziemniaków.

Potem było jeszcze kilka dni wolnego na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Nauczycielami w Rachowicach byli: Kropsch, Herud i Brixie.

Dyrektorem szkoły był pan Kropsch. Jeszcze dzisiaj pamiętam jego postawę, ruchy i krok. Wtedy panowała w szkole dyscyplina. Porządek był nie taki, jak dziś. Gdy nauczyciel przechodził, każdy się bał i nabierał respektu.

Kierownik szkoły był zarazem organistą i urzędnikiem stanu cywilnego.

Wiąże się z tym pewna anegdota opowiedziana nam, uczniom, właśnie przez kierownika szkoły.

Przyszedł do niego kiedyś pewien chłop z Sierakowic, aby zarejestrować urodzenie dziecka. Były to czasy hitlerowskie i modne było wtedy imię Wolfgang – co oznacza chód wilka. Właśnie tak jego żona chciała nazwać swego syna. Zanim jednak ten człowiek doszedł na piechotę do Rachowic, zdążył to imię zapomnieć. Powiedział, że syn koniecznie ma się nazywać Tigergang – chód tygrysa.

Kierownik zorientował się od razu w pomyłce i podpowiedział mu właściwe imię.

Opowieść wywołała wśród nas uczniów falę śmiechu.

Dyrektor Kropsch był dobrym człowiekiem. Nasi rodzice bardzo go cenili. Zmarł prawdopodobnie w 1936r.

Po ukończeniu szkoły w Rachowicach pani Król chodziła do szkoły zawodowej. Po szkole również brała udział w kursie stenografii i pisania na maszynie, dlatego w przyszłości mogła pracować w biurze jako stenotypistka.

Rodzice pani Król akurat budowali dom, a szkołę trzeba było opłacać. Było bardzo ciężko. Gdy uczęszczałam jeszcze do szkoły zawodowej świeciło się w domu naftą..

Na wioskach rządząli sołtysi.

Sośnicowice za niemieckich czasów nazywano Kieferstadtel.

Rachowice nosiły nazwę Buchenlust, Sierakowice Graumansdorf, Bojszów – Larchenhag, Łacza – Föhregrund, a Goszyce – Meisenbusch.

W tamtych czasach lasy rachowickie były własnością Herzoga, czyli księcia. Miał on swój pałac w Rudach Raciborskich. Jego wielkim przyjacielem był lekarz Roger. Kiedyś podczas polowania w lesie Roger dostał ataku serca w lesie i zmarł. Księżę kazał w tym miejscu postawić pomnik na pamiątkę. Mieści się on tam do dziś.

Książ ten miał jednego syna, który poległ na wojnie. Pamiętamy jak w całej parafii odprawiano msze żałobne.

Arystokrata ten posiadał elegancką bryczkę. Kiedy przejeżdżał to od czasu do czasu zabierał ze sobą mojego ojca. Ojciec opowiadał mi kiedyś zabawne wydarzenie.

Otóż kiedyś pan Herzog chciał zobaczyć obóz mieszczący się w budynku koło *Groty*, tzw. później baraki.

Było to podczas II wojny światowej. Byli tam jeńcy wojenni – angielscy lotnicy. Pracowali w lesie. Kiedy przyjechali niemieccy żołnierze nadleśniczy z Rachowic przedstawił Herzoga mówiąc – to jest Herzog von Ratibor, a na to jeden z żołnierzy powiedział – a ja też jestem Herzog aus Ratibor.

Różnica polegała na tym, że żołnierz ten miał na nazwisko Herzog, a tamten był prawdziwym, rodzimym szlachcicem – Herzogiem.

Dawniej nadleśnictwo było w Rachowicach, później zostało przeniesione do Rudzieńca. Tam panował inny hrabia.

W Pławniowicach rządząli hrabiowie von Ballestrem.

Przedtem dzierżawiliśmy ziemię od nadleśnictwa i tego księcia raciborskiego, a w czasie wojny mogliśmy ją dostać na własność, podobnie jak inni mieszkańcy Rachowic.

Chowaliśmy też barany na wełnę. Mieliśmy takie drewniane kółeczka, które sami zrobiliśmy, do przędzenia wełny. Potem trzeba było jeszcze wełnę farbować.

Kiedyś ciężko było cokolwiek kupić. Z opowiadań jeszcze starszych ludzi wiemy, że dawniejszymi niż nasze czasy było jeszcze gorzej.

Nie znano melioracji. Gdy padały deszcze pola były mokre, ziemniaki wygniły, nie żniwowało się. Klęski niszczyły zbiory. Dopiero po I wojnie światowej rolnictwo się rozwinęło.

Z takich dawnych przekazów ustnych pamiętam jeszcze jedną historię opowiadaną w naszej rodzinie.

Kiedyś na miejscu Johannesheimu, Groty i przyległych terenów znajdowało się jedno gospodarstwo należące do państwa Król. Jakies 150-200 lat temu prapradziadek pana Króla posiadał tam ul , gdyż bardzo lubił pszczoły.

Był człowiekiem pobożnym i bogobojnym. Przyniósł kiedyś z kościoła do domu hostię świętą i włożył ją do ula. Jak powiadali ludzie pszczoły zrobiły z wosku kielich i monstrancję. Hostia znajdowała się podobno w tym kielichu, a z ula wprost wylewał się miód!

Niektórzy wierzyli, że to cud.

Historia ta jest opisana we współczesnych broszurach przez Zakon Białego Krzyża. Rzeczywiście, Zakon ten w późniejszych czasach mieścił się na tych terenach, a w nim kapliczka na piętrze, do której wierni chodzili się modlić. Zakon ten jeszcze istnieje obecnie w Niemczech w Bawarii.

Obecnie w Rachowicach w budynku tym jest szkoła. Kiedyś przebywali tam zakonnicy i siostry.

Do Johannesheimu przyjeżdżali goście z całych Niemiec, nieraz aż sześćdziesięciu ludzi zasiadało do obiadu. Można było tam nocować i przebywać na takich kościelnych czasach. Ci braciszczowie reklamowali się w całych Niemczech. Oni zbudowali tę Grotę.

Dobrze znałam te siostry, gdyż przez półtora roku uczyłam się w tamtejszej kuchni przygotowywać jedzenie wegetariańskie.

Johannesheim był poświęcony i oddany do użytku w 1928r. W Rachowicach stał wtedy sznur aut z Gliwic.

Pan Król pamięta jednego z pacjentów alkoholików. Nazywał się Max. Byli też pacjenci upośledzeni. Braciszczowie wyprowadzali ich na spacer. Uczył tam jeden adwokat – nazywał się Geizler.

Teraz trochę o Grocie. Była ona bardziej rozbudowana niż teraz. Z boku było specjalne miejsce na orkiestrę. Było też specjalnie zbudowane miejsce dla przyjezdnych z miasta, by mogli tam nocować. To wszystko zrobiono z drzewa. W 1943r mieszkańcy Johannesheimu, czyli Zakon zostali wysiedleni przez hitlerowców z powrotem do Niemiec. Wszystkie krzyże zostały zlikwidowane. W 1943r zamieszkały tam dzieci z Berlina. Hitler chciał ratować młodzież, umieszczając ją na wioskach. Szczególnie chodziło mu o chłopców. Byli to chłopcy w wieku od trzynastu do piętnastu lat Długo tam przebywali. Uczestniczyli tam w lekcjach. Kiedy było już wiadome, że Niemcy przegrają wojnę to w 1944r. wywieziono chłopców z powrotem do ich domów, do Niemiec. Gdy do Johannesheimu wkroczyli Rosjanie wisiały tam same swastyki i portrety Hitlera.

Po wojnie do baraków za dawnym Johannesheimem przyjeżdżały kolonie, robiono tam ogniska na rozpoczęcie i zakończenie turnusu. Ludzie mieszkający niedaleko mieli rozrywkę.

Dobrze pamiętamy jeszcze tzw. Stary Staw. Był to stary staw i groble, które ludzie musieli postawić, aby ograniczyć wodę. Hodowano tam ryby. Tama wynosiła jakieś 500 m. Jeszcze po wojnie znajdowała się w tym miejscu prymitywna śluza z belek.

Obok mieścił się tzw. Malniok. Są jeszcze w tym lesie ślady palenia drewna dla hut. Kiedyś musiała tam być też cegielnia, gdyż mówił się jeszcze teraz, że idzie się do starej cegielni. Staw tam jeszcze jest. Kiedyś topiono w nim Marzanę, ale teraz ten zwyczaj zanika.

Przez ok. trzydzieści lat proboszczem w Rachowicach był ksiądz Kycia. Dojeżdżał do wszystkich kościołów w parafii, a w zimie zwłaszcza było to trudne. Posiadał najpierw rower, potem motocykl i auto.

Jego szoferem już przed wojną był Józef Sachnik.

Pod koniec wojny ksiądz jeździł rowerem.

Podczas wojny moja rodzina pomagała księdzu. Ponieważ pracowałam w biurze, więc mogłam przywozić księdzu papier, którego nigdzie nie można było dostać.

Do parafii w Rachowicach należały kiedyś cztery kościoły: Rachowice, Sierakowice, Łąca ,Bojszów, kaplice w Goszycach i tzw. Sierakowiczkach.

Msza w Lachowicach odbywała się co dwa tygodnie. W pozostałe udawano się piechotą do kościoła w Sierakowicach lub Bojszowie, gdzie komu lepiej pasowało.

Na różaniec chodziło się wieczorem z latarką kieszonkową (prądu nie było). Msza święta w Rachowicach odbywała się co dwa tygodnie.

Ponieważ pani Król mieszkała na końcu Rachowic, więc zamiast iść pieszo np. do Sierakowic, miałam bliżej do Bojszowa. Podczas odpustu jeszcze po wojnie, kiedy to była nadal jedna parafia pamiętam procesje idące z Bojszowa do rachowickiego kościoła. Zawsze na nią czekałam, dołączałam się i szłam razem z nimi. Ze wszystkich kościołów szły te procesje. Grała też orkiestra. To były prawdziwe odpusty, wielkie święta! I tak co roku!

Ksiądz Kycia stał przy kościele i nadśluchiwał, z której strony parafii idzie pierwsza procesja, wychodził jej naprzeciw i wprowadzał do kościoła.

Odpustowych bud było zawsze co niemiara! Na drodze do Łączy stały , aż do miejsca, gdzie kończy się plebania, na drodze do Sierakowic, aż do zakrętu. Na drodze do Sośnicowic nie wolno było stawiać bud, gdyż biegła tamtędy szosa, pomimo to rozmieszczono je tam, aż po żelazny mostek.

Mój ojciec jako dziecko był ministrantem. W Boże Narodzenie ministranci mogli przyjść na plebanię i tam dostawali orzechy, pierniki i jabłka. W każdej rodzinie było dużo dzieci, ok. ośmioro, dziesięcioro i wszystkie czekały na te smakołyki. Wypieki robiono tylko w domu.

Ze starych zwyczajów do dziś przetrwały jeszcze te świąteczne, wielkanocne – lanie wodą oraz klekotanie klapaczkami, gdy dzwony zamilkną w Wielki Piątek i Wielką Sobotę.

Panowała bieda. Sklepikarze przywozili towary i materiały z Gliwic. Podczas wojny nie było ani mydła ani proszku. Ja z tego powodu zapisałam się do GS. Jako członek otrzymywałam bowiem dwie paczki proszku (niewiele to było warte, ale zawsze lepsze niż nic). Żywność można było dostać tylko na kartki, nawet papierosy. Otrzymywało się 100 punktów na rok i tzw. kleiderkarty. Buty to było np. 25 punktów, ręcznik może z 5 pkt. itp.

Może teraz coś o obyczajach. W Sylwestra robiono sobie różne psikusy. Wyciągano np. furtki – to czasami zdarza się jeszcze i do dziś. Mój ojciec opowiadał mi jeszcze jak przed I wojną światową

malowano np. ludziom okna czarną sadzą (w środku wydawało się, że na dworze ciągle jeszcze jest ciemno). Czasami chłopcy wchodzili na dach, zakładali deskę na komin, a gdy gospodarz zapalał w piecu – cały dym wchodził do środka.

Dzieci nie miały zabawek. Bawiono się i grano na szosie. Brano np. obręcz z rowerów i kije i urządzano wyścigi „które koło szybciej się dotoczy”. Bawiono się w chowanego i grano w palanta. Boisko było kiedyś za kościołem, gdzie teraz jest piasek i są łąki. Później zrobiono boisko pod lasem. Istniał też klub sportowy. Był też tzw. Kriegerverein – związek, który urządzał zabawy.

Pan Król pamięta jak przed panowaniem Hitlera w Rachowicach był jeszcze Związek Sportowy. Nazywał się *Deutsche Eiche Rachowitz* czyli Niemiecki Dąb Rachowice. Zawodnicy nosili białe spodenki i czarne dresy. Na koszulkach były biało-czarne napisy. Pamiętam pewien pochod gdzieś w roku 1932. wszyscy szli pod las koło Feldscheuny ubrani w specjalne stroje. Grała orkiestra.

Ważnym wydarzeniem na wsi było *szkubanie pierza* (gdzieniegdzie jeszcze to się odbywa). Mimo, że była to żmudna praca na długie zimowe wieczory, to było bardzo wesoło. A koniec *szkubek* gospodyni urządzała bal pierzny. Było to dość kosztowne.

Kobiety dawniej chodziły w strojach ludowych. Były to długie, szerokie kiece i chustki na głowie. Teraz odeszły już w zapomnienie.

Piękne stroje mieli też górnicy. Górnictwo w okolicy było na wysokim poziomie. Jeżeli ktoś pracował, to przeważnie w górnictwie. Z opowiadań jeszcze starszych ludzi pamiętamy, że za czasów cesarza Wilhelma, jeszcze przed I wojną światową ludzie musieli pracować po dwanaście godzin. Do pracy szło się całą grupą. Wszyscy chodzili piechotą „łońską drogą” w poniedziałek rano ok. 3 czy 5. brano wyżywienie a cały tydzień. W niedzielę urządzano zabawy – w karnawale tańczono całą noc. Było też więc i wesoło.

Podczas wojny gdy mężczyźni zostali zaciągnięci do wojska u mojej babci pracował Ukrainiec Peter. Bardzo lubił mojego ojca. Wiedział, że był on bardzo przeciwny polityce Hitlera. Gdy Rosjanie weszli do Rachowic od strony Bojszowa 25 stycznia 1945r to chłopci ukraińscy stanęli koło szkoły, aby ich powitać. Oni umieli po rosyjsku. Generał sowiecki zapytał ich, gdzie mógłby zamieszkać i Peter skierował go do nas. To uratowało mnie z rąk Rosjan. Miałam zagwarantowany spokój z ich strony. Do dziś pamiętam tego dowódcę – nie był podobny do Rosjanina – wysoki, niebieskooki.

Niektórzy z Rosjan byli jednak wykształceni i porządni.

Pierwsi żołnierze byli tydzień, po nich przyszli następni, gdyż armia posuwała się do przodu. Żołnierze siedzieli w dużym pokoju i pili wino.

Johannesheim został podpalony. Wisiały w nim same swastyki i portrety Hitlera. Krzyże zostały usunięte po wyrzuceniu zakonników i zakonnice.

Dawna plebania również została spalona, ale uratowała się kronika kościelna. Księżdz Rosjanie oszczędzili – mieli dla niego szacunek. Zabrano wszystkich mężczyzn do 50 roku życia, którzy nie byli w wojsku, a pracowali np. w kopalniach. Rosjanie dużo złęgo w Rachowicach uczynili.

Zastrzelili niektórych., zwłaszcza tych którzy uciekli z miast.

Pan Król dostał się do niewoli amerykańskiej. Był w niej dwa i pół roku.

Gdyby zabrano mnie miesiąc wcześniej, to zostałbym wywieziony do Ameryki. Jeńcy byli już w Cherbourgu – w porcie na Atlantyku. Mieliśmy odpływać statkiem, gdy przyszła decyzja, że jednak nie pojedziemy.

Był to początek kwietnia, a w maju skończyła się wojna. Pilnowali nas Francuzi. Byli oni, tak jak i Polacy źle nastawieni w stosunku do nas. Gdy transportowano nas otwartymi wagonami, to rzucali w nas podkładami kolejowymi. Gdy wróciłem z niewoli francuskiej w 48 r. to we Francji chleb był jeszcze na kartki, a w Polsce już nie. Po wojnie było bardzo ciężko. Wszystko co przedstawiało jakąś wartość zostało z Rachowic wykradzione i zrabowane. Rosjanie i Polacy uznawali nas za Niemców. Były to wielkie tragedie tych ziem.

Rachowice mogą się poszczycić tym, że mieszkał tu jeden parafianin, który dożył 100 lat. Był to pan Robert Kaczmarczyk. Setne urodziny obchodził w lutym 1963r., a w kwietniu zmarł. Ksiądz odprawił mszę świętą w jego mieszkaniu a ludzie chodzili mu śpiewać.

Za czasów księdza Malcherczyka, sprowadzono do kościoła w Rachowicach obraz Czarnej Madonny, dobrze pamiętamy to wydarzenie. Było to w lutym 1966r. Było bardzo dużo śniegu. Ludzie w ogrodach robili małe kapliczki ze śniegu i wsadzali w nie lampki. Cała wieś przybyła. Były sztandary.

Również za czasów księdza Malcherczyka, z winy prądu, spłonęła w kościele jedna ze stacji Drogi Krzyżowej (obraz olejny). Było to gdzieś około 1965r. Kiedyś bardzo kochano się w sztucznych kwiatach. Panowała moda na malutkie lampki i świecące ozdoby. Cała figurka św. Antoniego otoczona była małymi lampkami.

Z takich pojedynczych zdarzeń to pamiętam jeszcze jak w 1934r. zastrzelono leśnika w rachowickim lesie. Nie pochodził on z Rachowic. W ten dzień było gorąco. Było to w niedzielne popołudnie. Słyszałem strzał. Zastrzelono również psa myśliwskiego i położono obok zabitego. Przyjechała milicja z Wrocławia, aby to zbadać, ale nie wyjaśniono sprawy.

W latach 60 zastrzelono również listonosza, w lesie w drodze do Rachowic.

Na koniec możnaby jeszcze wspomnieć człowieka pochodzącego z Sierakowic. Nazywał się Józef Hajok. Był wędrowcem. Na piechotę zwiedził całe Niemcy. Znał wielu zamożnych i wpływowych obywateli niemieckich. Zachodził do nich, prosił o ubranie i oni mu dawali. Ubrany był więc zawsze na tip-top. Nigdzie nie pracował i nie miał własnego domu. Ludzie go lubili. Wiedział on, gdzie dobrze gotują. Przychodził do ludzi i każdy go żywił. Gdy przyszła zima starał się znaleźć jakiś kąt u gospodarzy, sypiał w chlewie. A gdy stodoły były pełne siana – spał na sianie. Latem sypiał w stogach na polu. Nie mył się, nie golił. Kiedyś zimy były bardzo ciężkie, więc na zimę starał się dostać do więzienia. Dokonywał małego wykroczenia, więc zamykano go, a on miał zapewniony wikt na całą zimę. Znał menu wszystkich więzień. Wiedział w którym jest lepiej, a w którym gorzej. Zmarł w przytułku po wojnie, prawdopodobnie był to marzec 1947r.

Pamiętamy jeszcze takiego Alojza który chodził po wsi bosy.

Wspomnienia pana Ryszarda Urbanka

Urodziłem się w Rachowicach w lutym 1924r.

Moje dzieciństwo i młodość były bardzo skromne. Nie mam o to żalu, gdyż tak powodziło się przed wojną wszystkim rodzinom, albo przynajmniej większości. Żyło się skromnie, ponieważ poza górnictwem i ewentualnie hutnictwem nie było stałej pracy.

Do Gliwic na kopalnię i do innych robót wybierali się robotnicy z Rachowic już w niedzielę wieczorem albo najpóźniej w nocy. Rowerów jeszcze nie było, więc trzeba było chodzić piechotą i mieszkać przez cały tydzień gdzieś najbliżej miejsca pracy (najczęściej w piwnicach).

Mój ojciec pracował przez wiele lat przy naprawie dróg. Wszystko było robione ręcznie, gdyż takiej mechanizacji jak teraz nie było. Te roboty trwały latem. Aby żyć większość mieszkańców Rachowic miała kawałek pola, żeby mieć ziemniaki i mąkę na chleb. Prawie w każdym domu była przynajmniej jedna krowa i koza na mleko. A po wyrobieniu mleka w maselnicy było i własne masło i maślanka, nawet żur z maślanki.

W każdym domu był też tak zwany piekarok do pieczenia chleba. Takiego chleba żaden piekarz teraz nie upiecze!

Bardzo dobre były też placki na własnym piecu smażone. Mąkę mieliło się na żarnach, czyli takich dwóch kamieniach, które się obracały.

Moim zdaniem ludzie się wtedy bardziej kochali, niż teraz dlatego, że prawie wszyscy byli równi. Każdy miał tylko kuchnię z kredensem, która służyła do wszystkiego: do gotowania, jedzenia, prania, kąpania a nawet do spania.

Kuchnie były wielkie, więc zmieściły się tam łóżka, a poza tym tam się najlepiej spało, gdyż w zimie było ciepło. Do tego każdy miał sypialnię z łóżkiem, stołem, szafą i komorę.

W zimie stał tam okrągły żelazny piec do ogrzewania, z długimi rurami do komina, ażeby bardziej ogrzać pokój. Nazywał się żeleźniok. Opalało się go drzewem, trochę węglem, wkładało się również brykiety, gdyż dłużej trzymały ciepło.

Węgiel był bardzo drogi, dlatego chodziło się do lasu na patyki. Bez opłaty wchodzenie do lasu było zakazane.

Nie było jeszcze radia. Ono powstało dopiero wtedy, kiedy byłem małym chłopczykiem. A odbierano je tylko z gliwickiej stacji.

Mój ojciec jako pierwszy w Rachowicach zbudował sobie radio, tzw. detektor. Było to urządzenie na takich kamyczkach. Słuchało się go przez słuchawki na uszach.

Później posłużono się już takimi rurami z wielkim uchem, żeby mogli tego wszyscy w całym pomieszczeniu słuchać. Do tego rozmieszczano na wysokich drzewach długą antenę z drutu.

Nie było jeszcze elektryczności. Dlatego świeciło się karbidówką, a w pokojach petronelką, czyli naftą. Elektryczność przyszła do Rachowic około 1934r. Świeciło się tylko jedną żarówką, a drugą się już zgasiło, gdyż to było bardzo drogie.

Nie istniały więc żadne rozrywki na wsi. Ludzie po ciężkich robotach na polach, w gospodarstwach rolnych i innych, siadali w lecie na rowach przy szosie, biegnącej wzdłuż Rachowic i opowiadali sobie różne bajki o czarownicach i strachach.

Nie znano jeszcze niektórych sportów, np. piłki nożnej. Dorosła młodzież budowała balony i puszczała w górę – to się działo na terenie obecnego zakładu *Urban – Metal*. W większości te balony spalały się w powietrzu.

Popularną rozrywką przed II wojną światową były przedstawienia teatralne. Rozpowszechniło się to szczególnie za nauczyciela Heruda.

On bardzo lubił urządzać teatry. Byłem jeszcze małym chłopczykiem, jeszcze nie chodziłem do szkoły, a już wybrał mnie i zmusił do odgrywania roli w swoim teatrze. Nawet nie potrafiłem czytać, a już mnie uczono *teatry grać*.

Przedstawienia teatralne odbywały się przynajmniej dwa razy w roku.

Grano je w gospodzie *U Julika*. Przychodziło na nie dużo ludzi, panował tłok, ludzie z trudem się poruszali w ścisku.

Musiałem podczas takiego teatru odgrywać kilka ról, a byłem takim małym, szczupłym chłopcem.

Pamiętam ważne przedstawienie, w którym grałem – *Fryderyk Wielki i jego gwardia*. Ja, jako najmniejszy z wszystkich małych aktorów grałem Fryderyka Wielkiego.

Trzy razy musieliśmy wtedy bisować. Grający poubierani byli w ciężkie kostiumy, więc robiło im się gorąco. Mnie też w tej ciężkiej czapce zrobiło się słabo i ciemniało mi w oczach, ale na szczęście kurtyna spadła.

Mam wiele ról w pamięci.

Na każde przedstawienie przychodził proboszcz Malajka, a później Kycia.

Po roku 1933 grano także teatry w gospodzie przy kościele zniszczonej pod koniec wojny w 1945r. Pamiętam wiele pięknych ról ze swojej młodości. Jedną z najpiękniejszych było *Życie krasnoludków w lesie*. Zagrałem króla krasnoludków.

Również przedstawienia teatralne wystawiano w gospodzie u Lubicha, m.in. *Życie krasnoludków w lesie* (cała scena przedstawiała ładny las) oraz *Życie Wilhelma Tella*- cieszyło się największym powodzeniem, najczęściej je wystawiano.

Bardzo dużo można by opowiadać o pięknych *Heimatfestach*, które odbywały się co roku w lesie (słowa die Heimat nie da się po polsku wytłumaczyć, oznacza ono korzenie regionalne, z których się wyrosło).

To miejsce nazywało się Rachowitzerschweiz. Mieściło się w lesie bukowym, którego teraz niestety już nie ma.

Do tego lasu szło się pochodem. Orkiestra grała.

Za czasów Hitlera członkowie jego partii kroczyli na czele pochodu ubrani w uniformy do Rachowitzerschweiz., za nimi orkiestra.

Urządzano różne gry, potańcówki, które trwały aż do nocy.

Dużo ludzi przyjeżdżało w tym czasie do Rachowic z Gliwic i Zabrze. Tak więc las był pełen ludzi.

Nawet teatr wystawiano. Między innymi pamiętam sztukę, o której już wspomniałem *Życie Wilhelma Tella*.

Autorami byli dorośli, a mnie wybrano do roli syna Wilhelma Tella. Byłem wówczas jeszcze małym chłopczykiem.

Pół gazety ówczesnej, *Wanderer* – poświęcono temu *Heimatfestowi* w Rachowicach. Nawet bardzo dużo zdjęć ukazywało właśnie teatr, w którym grałem.

W nocy po tych leśnych uroczystościach wesołym marszem, prowadzonym przez ojców rodzin, z orkiestrą chodziło się z powrotem do wsi.

Dzieci szły do domu, a goście mieli dalszą zabawę w gospodzie.

A jak pięknie przebiegało podziękowanie za żniwa! Szło się przez całą wieś z kapelą do lasu *Rachowitzerschweiz* i ucztowało, aż do nocy. Ozdobione były wszystkie domy!

Po wojnie ludzie rozebrali drewniane sprzęty z Goju i przeznaczyli je na opał.

Rachowice straciły na znaczeniu, przestały być modnym kurortem wypoczynkowym i zdrowotnym.

Mój ojciec był bardzo muzykalny. Grał w orkiestrze, więc grywał też podczas obchodów w *Rachowitzerschweiz*. Kupił sobie wielki fortepian i nauczył się na nim grać na tyle, na ile to było możliwe samemu.

Pisał nuty dla orkiestry rachowickiej, która jeszcze do dzisiaj z nich korzysta. Oprócz fortepianu grał również na grubym basie i flecie. Naprawiał nawet organy w kościele, gdyż się często psuły.

Był organistą w Rachowicach i Sierakowicach, nosił przy sobie zawsze karteczkę i od razu pisał nuty do nowych pieśni. Ksiądz Malcherczyk i inni dostojnicy kościelni nie mogli się nadziwić, że bez wykształcenia muzycznego można być tak uzdolnionym.

Orkiestra dużo grała na weselach. Jak wesele odbywało się na wsi to cała wieś świętowała i było bardzo wesoło!

Grano na placach, a wieczorem w salce. Ludzie pod oknem podglądali i piwko popijali. Dzieci też zawsze chciały podglądać, a to nie było takie proste, bo mogły być na dworze tylko do ósmej wieczorem, a bardzo chciały posłuchać muzyki.

Podczas wesel muzykanci dostawali zawsze coś do zjedzenia i przynosili to do domu. Mój ojciec częstował smakołykami dzieci, a słodczyce wtedy były rzadkością.

W Nowy Rok orkiestra chodziła muzykować po wsi. Najpierw przy kościele odegrali *Cichą Noc*. Było wesoło nie do opisania!

Do *Goju* i do *Groty* przyjeżdżały autobusy z wycieczkami.

Wzdłuż drogi do Groty były ustawione kioski z napojami. Ponieważ Zakon Świętego Krzyża w Johannesheimie oprócz chorych leczył też alkoholików, wszystkie napoje były bezalkoholowe.

Spędzano w tych miejscach cały dzień na świeżym powietrzu.

W Johannesheimie przebywali chorzy, a w budynku obok Groty ciężej chorzy.

Staw w Grocie był przepiękny, większy niż obecnie. Gdy robiło się ciemno, puszczano nad stawem sztuczne ognie. Na stawie mieściły się fontanny.

W Johannesheimie podczas wojny prasowano hostie, które rozwożono po całych Niemczech.

Ludzie zamawiali tam msze, gdyż były odprawiane codziennie.

Podczas wojny Przenajświętszy Sakrament został wywieziony z Johannesheimu do kościoła w Lachowicach.

Obok plebanii w Rachowicach mieścił się piękny ogród kwiatowy, którym zajmował się ojciec księdza Kyci.

Po wojnie nie było już wikarego w Rachowicach. Plebania została wypalona.

Szkoła również była zniszczona na skutek wybuchu bomby w jej pobliżu. Jednak do samej szkoły bomba nie wpadła.

Pamiętam, jak podczas wojny w tzw. później barakach przebywali jeńcy angielscy. Byli oni dobrze traktowani. Dostawali bogate paczki od krewnych, zwłaszcza dobre mydła. Mieli pieniądze, więc kupili sprzęt muzyczny. Był tam fortepian.

Teren ten był ogrodzony, ale słyhać tam było huczne zabawy, które zrobiły się znane.

Jeńcy pracowali w Rachowicach, jedni u piekarza, inni u rzeźnika itd. Odnosili się oni dobrze do ludności Rachowic. Nie jak do wrogów. Byli pracowici i sympatyczni. Ludzie mówili, że zachowują się jak przyjaciele, choć byli w niewoli, a Niemcy i Anglia prowadzili ze sobą wojnę. Mieszkańcy Rachowic miło ich wspominają.

Wiele lat przed wojną w Rachowicach była poczta. Prowadził ją mój ojciec. Mieściła się ona w jednym pomieszczeniu. Przyjmowano tam listy i pieniądze. Pamiętam skrzynkę na listy polecone i odebrane, która tam wisiała. Tylko na poczcie był wtedy telefon, czynny dla wszystkich mieszkańców.

Gdy rozmowa została zakończona, trzeba było drugi raz zadzwonić na centralę, by dowiedzieć się, ile rozmowa kosztowała. Każdy płacił od razu.

Listy, które zostały przywiezione były sortowane i roznoszone po wsi, podobnie paczki.

Poczta czynna była do rozpoczęcia działań wojennych w Rachowicach w 1945r.

Po tych wydarzeniach poczta została zamknięta i do dnia dzisiejszego nie mieści się już w Rachowicach

Brałem udział w wojnie. Wróciłem do Rachowic w 1947r.